Krajobrazy Słowa

Pokłosie
XXV Konkursu Literackiego

Kędzierzyn-Koźle 2018

XXV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Antologia poezji i prozy laureatów konkursu literackiego

70 lat MBP KĘDZIERZYN-KOŹLE

Kędzierzyn-Koźle 2018

Honorowy Patronat

Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle

Marszałka Województwa Opolskiego

Projekt logotypu „Krajobrazy Słowa”

Leszek Ołdak

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Dariusz Herbowski

Opracowanie redakcyjne i korekta

Jan Andrzej Fręś

ISBN 978-83-941650-3-1

Wydano nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Kędzierzynie-Koźlu

SPIS TREŚCI

Wstęp – na ćwierćwiecze konkursu

Helena Bulanda – „Świat innych, lepszych wartości”
– o Krajobrazach Słowa retrospektywnie 7

Karol Maliszewski – Z Krajobrazami Słowa na dobre i złe
(ale raczej to pierwsze) 12

Marta Fox – Co zapisane, to przyklepane 15

Krzysztof Siwczyk 17

Antologia

proza

Aleksandra Paprota – godło „Idą nocą” 19

Anna Kokot – godło „Consolamentum” 29

Krzysztof Szkurłatowski – godło „Aurora borealis” 43

Katarzyna Mróz – godło „Henrietta” 51

Anna Maria Wybraniec – godło „Efekt Forera” 73

Emilia Osmólska – godło „Śpiący mops” 85

poezja

Rafał Kasprzyk – godło „Kapitalny” 101

Dorota Ryst – godło „100% celulozy” 105

Paweł Bień – godło „Wiktor Rękorajski” 111

Dominik Sobol – godło „Dobra krew” 117

Anna Michalska – godło „Trumna zmienia się w bobslej”..... 123

XXV Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

WSTĘP
– na ćwierćwiecze konkursu

Helena Bulanda

„Świat innych, lepszych wartości” – o Krajobrazach Słowa retrospektywnie

„Zawsze na wiosnę i zawsze w Kędzierzynie-Koźlu”, napisał Karol Maliszewski we wstępie do pokonkursowej antologii, wydanej w 2011 roku. I miał rację. Od 25 lat wiosną, najczęściej w kwietniu, zapraszamy do nas laureatów i sympatyków Krajobrazów Słowa. Cieszy nas nieustanny rozkwit konkursu, duża liczba biorących w nim udział, tysiące przesłanych prac, kilkaset nagrodzonych osób, 24 pokonkursowe antologie, coroczne niezapomniane gale z udziałem znanych artystów: Anny Szałapak, Jacka Wójcickiego, Agnieszki Chrzanowskiej, Roberta Kasprzyckiego, Doroty Ślęzak i wielu innych. Dużo, a może niewiele?

Są przecież inne konkursy, o dłuższym stażu i większym prestiżu, o bogatszym portfelu nagród. Ale to „nasz” projekt święci jubileusz i jest powodem do dumy.

Kiedy dwadzieścia pięć lat temu ogłaszaliśmy konkurs literacki Krajobrazy Słowa, chcieliśmy dać szansę ludziom, zmagającym się z trudną sztuką słowa, którzy chcieli coś powiedzieć innym, opisać świat po swojemu, zmierzyć się z innymi. Kierowaliśmy go do młodych ludzi, bowiem wiedzieliśmy, że w mieście są „piszący nauczyciele", działa Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, a nie ma platformy dla młodych.

Tytuł konkursu Krajobrazy Słowa, ze względu na wieloznaczność miał tworzyć przestrzeń dla niejednorodności słowa. Na pierwszą edycję napłynęło 75 prac twórców tylko z Kędzierzyna-Koźla, na drugą – już 320 tekstów. W trzeciej pojawili się pierwsi autorzy spoza miasta, ale wciąż jeszcze konkurs stanowił wydarzenie regionalne, by od czwartej edycji objąć zasięgiem całą Polskę. Z czasem zdobywana ranga, utrwalająca się opinia o dobrym poziomie, nad którym czuwa profesjonalne jury, przyniosła konkursowi ogólnopolskie uznanie. Z roku na rok przybywało chętnych, prace nadsyłano z różnych stron naszego kraju, a także z zagranicy, m.in. z Niemiec, Francji, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Szwecji. W ciągu ćwierćwiecza otrzymaliśmy ponad 21 000 prac od blisko 5 000 uczestników, spośród których jury nagrodziło 262 osoby.

Kilka tygodni temu zmarł Jan Goczoł – juror, przewodniczący komisji konkursowej pierwszych sześciu edycji Krajobrazów Słowa. Poeta, piewca Śląska, którego już nie ma. Zrobiło mi się smutno, że tylu ludzi blisko związanych z konkursem już odeszło: Krystyna Soszyńska-Supron, dziennikarka „Życia Blachowni", koleżanka z roku profesora Miodka; Józef Szczupał, dziennikarz „Nowej Trybuny Opolskiej", który pochodził z Bożęcina, tej samej wsi, co Sławomir Mrożek. I niezapomniany profesor Piotr Kowalski, wykładowca uniwersytetów Opolskiego, Jagiellońskiego i Wrocławskiego, który w chwili śmierci miał zaledwie 59 lat. Zaprzyjaźniony z naszą biblioteką, prowadził wykłady dla maturzystów, promował swoje książki, m.in. Chleb nasz powszedni, Woda żywa, Odyseje nasze byle jakie, Leksykon. Znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie. Przez piętnaście lat nie tylko oceniał prace konkursowe, ale też przygotowywał je do druku. Był urodzonym

gawędziarzem i podczas gali błyskotliwie prezentował pokonkursowe wydawnictwo. Jego popis krasomówstwa zawsze trwał dłużej niż zapisano w scenariuszu, a niektórzy czytelnicy przychodzili specjalnie, by posłuchać Piotra. Tylko raz nie zaprezentował książki: wracając z zajęć w Krakowie po prostu zasnął w pociągu i obudził się dopiero w Gogolinie. Marta Fox – poetka, powieściopisarka, eseistka, autorka ponad 30 książek, zastąpiła kolegę i zmieściła się w czasie. Zresztą Marta Fox, obecna przewodnicząca jury, to perfekcjonistka, lubi mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, trzyma się ustalonych reguł, co wcale nie znaczy, że nie lubi improwizować, jest w tym świetna. Zaprosiłam ją do współpracy w roku 1998 i jest do dziś. Jacek Podsiadło – jeden z najciekawszych współczesnych polskich poetów, laureat wielu nagród, m.in. Nagrody Kościelskich, Nagrody Czesława Miłosza, Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius", związany był z naszym konkursem 16 lat. Byłam niezwykle dumna z tego, że zgodził się zostać jurorem, rzadko przystawał bowiem na takie propozycje. Karol Maliszewski – poeta, prozaik, krytyk literacki, ma opinię jednego z najbardziej aktywnych i kontrowersyjnych recenzentów młodej poezji. Ocenia prace konkursowe od 2007 roku. W roku 1997 w jury zasiadała Dorota Stasikowska-Woźniak, dziennikarka i pisarka, a w 2000 roku prof. Marian Kisiel z Uniwersytetu Śląskiego, natomiast od dwu lat w komisji konkursowej jest poeta Krzysztof Siwczyk.

Bardzo sobie ceniłam współpracę z jurorami i miałam do ich profesjonalizmu całkowite zaufanie. Wielkie dzięki za ich pracę, z kilogramów przesłanych tekstów wybierali „literaturę". Zawsze byłam pełna podziwu dla ich wiedzy i wrażliwości, a także sprawności podczas posiedzenia komisji konkursowej. Przyjeżdżali z wybranymi utworami i okazywało się, że większość utworów powtarzała się u wszystkich. Ale i tak były wnikliwie analizowane i oceniane. Bywało, że ktoś zauważył inny tekst, wtedy komisja pochylała się nad nim, wybierając bądź nie.

Czas pokazał, że dobrze wybrali. Wielu nagrodzonych u nas twórców wydało własne tomiki, piszą w literackiej prasie, a ich nazwiska widnieją w literackich antologiach.

Nie sposób wymienić w tekście wszystkich nagrodzonych, zainteresowanych odsyłam na stronę biblioteki. Wielu jednak pamiętam, szczególnie tych, którzy byli u nas nie raz, m.in. Kasię Zdanowicz z Białegostoku, Ewę Grętkiewicz z Konina, Annę Czujkowską z Lublina, Augustyna Barana z podkarpackich Izdebek, Iwonę Michalec z Będzina, Pawła Lekszyckiego z Dąbrowy Górniczej, Wojciecha Brzoskę z Sosnowca, Elżbietę Dziewońską z pobliskiego Głogówka, Adama Boberskiego ze Skarbimierza, Karolinę Piwowar z Starej Kuźni, wcześniej z Leśnicy – wtedy jeszcze nosiła panieńskie nazwisko Wizner.

Istotą konkursu literackiego jest promocja ułatwiająca autorowi drogę do publikacji, stąd coroczne wydania antologii zawierających pokonkursowe utwory, a wśród nich teksty ponad trzydziestu nagrodzonych i wyróżnionych kędzierzyńsko-kozielskich autorów, m.in. laureatów nagród głównych: Aleksandry Białek-Wołkonowskiej, Ryszarda Hai, Adrianny Dziadyk, Piotra Gabrysza, Radosławy Herzog, Leszka Łuczyna, Bartłomieja Mączyńskiego, Krzysztofa Spadło, Jacka Strusia, Anny Tlałki, Izabeli Wageman, którym konkurs dał szansę na zaistnienie i rozwój. Pisał o tym Karol Maliszewski w 2013 roku: „Oto główne nagrody w kategorii poezji i prozy otrzymują mieszkanki tego miasta (Kędzierzyna-Koźla) Anna Tlałka i Adrianna Dziadyk. Czy to nie jest owoc tego konkursu, wymierny efekt stworzenia dobrego w tym mieście klimatu do samodzielnych poszukiwań artystycznych…”.

Bardzo dobrze układała się współpraca biblioteki z wydawcą antologii. Pokonkursowe tomiki przez dwadzieścia jeden lat profesjonalnie wydawało Wydawnictwo Instytut Śląski sp. z o.o. w Opolu, a logo konkursu i projekt okładki wykonał Leszek Ołdak, opolski grafik i plastyk. Do dziś pamiętam spotkanie z panem Leszkiem w wydawnictwie, kiedy przyniósł projekt, który bardzo mi się spodobał i kiedy oznajmił, że nie chce honorarium, bo zrobił to z sympatii do naszej biblioteki.

Jestem przekonana, że wypromowaliśmy także ważne wydarzenie: galę pokonkursową, która wrosła w pejzaż kulturalny Kędzierzyna-Koźla.

Taka „wartość dodana" w postaci koncertu artysty i promocji książki niezwykle uatrakcyjnia konkurs. Podczas gali autorzy nagrodzonych prac mają okazję posłuchać fragmentów swoich utworów, porozmawiać z jurorami, wymienić doświadczenia, a organizator patrząc na to kraśnieje z dumy, że znowu się udało i ma wrażenie, iż uczestniczy w czymś niesamowitym, wręcz magicznym. Jak napisała Elżbieta Dziewońska, laureatka Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego „...po imprezie czułam się przeniesiona w świat innych, lepszych wartości".

I na koniec o sprawie bardzo prozaicznej, czyli o pieniądzach. Konkurs startował w czasach, kiedy samorządy były niezbyt zamożne; nie było projektów, dodatkowych środków, a dotacje dla biblioteki były bardzo mizerne. To dzięki hojności i życzliwości zarówno darczyńców instytucjonalnych, jak i prywatnych, udało się konkurs przez te wszystkie lata nie tylko utrzymać, ale nawet rozwinąć. Ogromna w tym zasługa Samorządu Kędzierzyna-Koźla, Samorządu Województwa Opolskiego (wcześniej Urzędu Wojewódzkiego) oraz kilkunastu firm, wśród których dwie przez ponad 10 lat wspierały finansowo Krajobrazy Słowa: firma „Elbor" Waldemara Boruty i Miejskie Wodociągi.

Mały, lokalny konkurs z początku lat dziewięćdziesiątych, posiada dziś ugruntowaną pozycję w skali ogólnokrajowej. Niezmiernie cieszy mnie, że konkurs trwa i nieustannie się rozwija, iż ciągle są ludzie, którzy chcą tworzyć własne światy, próbować się z innymi. Oby ten wykreowany obraz docierał do czytelnika. Klucz do otwierania tego świata tkwi w każdym z nas, a konkurs daje szansę na jego użycie. Zatem do zobaczenia w następnej i kolejnej, kolejnej, kolejnej… edycji „zawsze na wiosnę i zawsze w Kędzierzynie-Koźlu".

Z Krajobrazami Słowa na dobre i złe (ale raczej to pierwsze)

Chyba z żadnym konkursem poetyckim w tym kraju nie byłem związany tak długo i tak wiernie. To właśnie tu uczyłem się rzemiosła, bo trzeba Państwu wiedzieć, że czym innym jest czytanie wierszy, a zupełnie czym innym ich interpretowanie i ocenianie. A tu dodatkowo była jeszcze proza, inny rodzaj aktywności słowa i jurorskiego nastawienia. Kawał mojego życia, wzrastania i dojrzewania, zespolił się na zawsze z „Krajobrazami Słowa", z Kędzierzynem-Koźlem. A przede wszystkim z ludźmi, z nad wyraz miłymi paniami dyrektorkami oraz pracownicami biblioteki, fantastycznymi kolegami i koleżankami w jurorowaniu, wszystkimi osobami zaangażowanymi w tworzenie tego wydarzenia. Także z poetami i prozaikami, których tu spotkałem i miałem okazję zamienić z nimi parę zdań. I jeszcze: z tekstami, które od tylu lat przemawiają mi do serca i rozumu, pokazując, jak zmienia się literatura polska w trudnej drodze towarzyszenia współczesnemu czytelnikowi. Dopóki jest przyjemność w odkrywaniu tych zmian, dopóty sens bycia jurorem jest dla mnie oczywisty. A w tym roku przyjemności było naprawdę dużo. W poezji i prozie nadzwyczajna świeżość, nowe (albo mniej znane) nazwiska i zjawiska; o to głównie chodzi w tego typu konkursach – i z tego kędzierzyńsko-kozielski konkurs najbardziej słynie; z promowania świeżości, z wyławiania nowych talentów.

Kimś takim na pewno jest Rafał Kasprzyk, eksplorujący swoją codzienność z niezwykłą żarliwością, roztapiający rodzinną i lokalną mitologię w narracji o szerszym znaczeniu. Jury zwróciło uwagę na perfekcję lakonicznego słowa, metafizyczny klimat pozornie prostych komunikatów. Coś podobnego znaleźliśmy w utworach Doroty Ryst, która nie potrzebuje zbyt wielu skomplikowanych słów, by opisać samopoczucie wrażliwego człowieka naszych czasów i to, „co wisi w powietrzu". Nie

tylko przyciąga czytającego do wierszy Kasprzyka i Ryst to, że biorą się one z „naczytania się innych poetów", lecz przede wszystkim z tego, że znaleźli przekonujący język na oznaczenie odrębności bycia i przeżywania. Na tle ich dojrzałości ciekawie sytuują się młodsi, poszukujący języka, eksperymentujący ze swoją wierszową tożsamością. Tu mam na myśli Pawła Bienia, Dominika Sobola i Annę Michalską. Jeżeli Kasprzyk i Ryst po długiej wędrówce odnaleźli „środek wyrazu", budując coś w rodzaju „domu", to ci autorzy są ciągle w drodze, tułają się. Ich utwory są w intrygujący sposób „nierówne", impulsywne, podatne na wszystko, co dotyka autorów, w zaskakujący sposób „trafiając na swoje przeznaczenie". Zapamiętajmy te nazwiska po to, by obserwować dalsze postępy.

A i w prozie podobny ruch, urodzaj, ożywienie. Poszukiwania trwają w najlepsze. Poszukiwania własnego stylu, najbliższego kręgu tematów, punktu odniesienia – rodzinnego, psychologicznego, społecznego. Bo jednym autorom bliżej do historii rodzinnych, i z tego typu mitami im do twarzy, innych ciągnie w głąb społecznych, przetwarzanych wciąż od nowa, historyjek. Krótko mówiąc: jedni próbują odnaleźć się w iluzji pierwszej osoby, tęskniąc do zobrazowania wyimaginowanej tożsamości, inni w dostojeństwie i rzekomej obiektywności trzeciej osoby odnajdują sens w tworzeniu tak zwanego dystansu. Tym razem jury uległo czarowi pierwszej strategii: najwyższe nagrody otrzymały narracje pierwszoosobowe.

Aleksandra Paprota, korzystając z takiej formy przekazu, stworzyła bohaterkę wypowiadającą posłuszeństwo formom zniewolenia, językowi matki i kultury. Anna Kokot w przejmujący sposób rozszerzyła tę batalię o kwestię płci i jej społecznego postrzegania. Krzysztof Szkurłatowski poszedł w głąb wspomnień z dzieciństwa, szukając tam realnych, mitogennych punktów odniesienia. Pozostali autorzy, a właściwie autorki (Katarzyna Mróz, Anna Maria Wybraniec, Emilia Osmólska), zaznaczając wspomniany dystans, wykreowały pełnokrwiste postacie i ich „prawdziwe życie". Jury ujęła niebanalność całego przedsięwzięcia, szczęśliwe

połączenie narracyjnego eksperymentu z bogatą, wciągającą czytelnika treścią. Dorota, Marzenna i „ta trzecia", stworzone przez nie bohaterki, w przewrotny sposób zaprzeczają tezie, że „kobiety są, proszę pana, często zwyczajnie nudne". Jeżeli już w tym męskim świecie dojdą do głosu, to potrafią zadziwić bezceremonialnością obserwacji, urodą odmiennego spojrzenia.

Kolejny raz czytam, przeżywam i zbieram myśli, zerkając w różne układy i krajobrazy słów, kolejny raz w Kędzierzynie-Koźlu. To bardzo ważne i formujące mnie doświadczenie. Życzyłbym innym krytykom i poetom takich doznań, bycia przy naturalnym źródle odnawiającej się literackiej siły.

Karol Maliszewski

Co zapisane, to przyklepane

Jurorką w Krajobrazach Słowa jestem ćwierć wieku. Przeczytałam w tym czasie 21 260 tekstów, w tym 18 894 wiersze i 2 366 utworów prozatorskich. Co roku otrzymywałam paczkę z pracami, ważącą przeciętnie 10 kilogramów. Czyli przez moje ręce przeszło około 250 kilogramów wierszy i prozy – ćwierć tony tekstów. Z tego wybierałam nie więcej niż kilkanaście kilogramów literatury.

Twórcy biorący udział w konkursie poddawali się mojej wrażliwości, preferowanym przeze mnie wartościom literackim. Starałam się wypośrodkować pomiędzy emocjami czytelnika a wiedzą krytyka czy pisarki, uprawiającej literaturę profesjonalnie. To ciężka praca, ale i wielka przygoda. Dzięki niej poznawałam ludzi szukających wartości słów, ich klimatów, a nie tylko kochających polskie seriale. Zawsze szukałam czegoś poza schematem, stereotypami konkursowymi.

W pisaniu bowiem nie tylko temat jest istotny. Także styl, odkrywczy stosunek do języka, rodzaj narracji, kompozycja. Fraza. Sztuki nie można się nauczyć. Warsztatu, rzemiosła – tak. Sztuki nie można podrobić. Jeśli podrabiasz, naśladujesz, jesteś epigonem. Trzeba wypracować sobie własny styl. Trzeba być jedynym i niepowtarzalnym. Dzięki tejże niepowtarzalności tysiące poetów od wieków piszą na przykład o miłości i każdy ma coś innego do powiedzenia.

Konkursy to przygoda, nagroda to bodziec, po którym rosną skrzydła. Nikt nie pisze dla siebie. Każdy szuka zrozumienia i pogłaskania, bo twórca pragnie także podziwu. Nie wierzę w deklaracje tych, którzy mówią, że piszą tylko do szuflady. Pisarz nie istnieje bez czytelników, tak samo jak aktor bez publiczności. Wcześniej czy później przychodzi ten moment, gdy piszący pokazuje swoje teksty tym bliskim, którym ufa. Później to już tylko kwestia odwagi, by pokazać je także innym.

Gratuluję wszystkim, którzy otrzymali nagrody. Gratuluję także tym uczestnikom konkursu, którzy nie otrzymali nagród. Można oczywiście zadać sobie pytanie o sens udziału w konkursie, skoro nie ma lauru. Otóż był sens: to odwaga nadania formy własnym myślom i uczuciom. Dlatego każdemu powiem, że jeśli czuje wewnętrzną potrzebę walki ze słowami i potrzebę szukania tych najwłaściwszych, powinien szukać. Dla siebie, dla kilku czytelników, którzy zechcą ich posłuchać.

A nagroda?

Wolter powiedział: Jedyna nagroda, jakiej należy oczekiwać z tytułu uprawiania literatury, to pogarda w razie niepowodzenia i nienawiść, jeśli odniesie się sukces.

Zapewne tak bywa. Ale czegóż się nie robi dla poczucia wolności, które daje pisanie, dla tej radości, że nic się nie zdarzy, jeśli tego nie przyklepiemy słowami. Tak, słowa ulatują, pismo pozostaje.

Godka przepadnie, ostanie ino to, co naszkryflomy.

Gratuluję kędzierzyńskiej bibliotece pomysłu i konsekwencji w realizowaniu konkursu, wiary w wartość słowa, także perfekcyjnej organizacji. Dziękuję paniom dyrektorkom: Helenie Bulandzie i Izabeli Migocz.

Z poetyckim pozdrowieniem i w oczekiwaniu na wiosnę –

Marta Fox

27 lutego 2018 roku, w Katowicach

Krzysztof Siwczyk

Paroletnie prace w charakterze jurora konkursu literackiego „Krajobrazy słowa" stały się dla mnie niepowtarzalną okazją lektury tekstów, których autorzy wchodzą dopiero do życia literackiego. Ów inauguratywny i niepowtarzalny klimat tego wstępowania powoduje, że lektura nigdy nie jest letnia. Jako juror mam po prostu do czynienia z pierwotną siłą gestu pisarskiego, który sam w sobie stanowi estetyczną wartość. Czasami w tekstach nie do końca artystycznie spełnionych siła ta objawia się szczególnie dotkliwie, powodując w lekturze zadziwiający efekt i poczucie obcowania z czymś autentycznym. Jak powszechnie wiadomo, autentyzm nie może stanowić miernika oceny tekstu literackiego. Może natomiast wywierać interesującą skądinąd presję, której nie można łatwo zignorować w geście zaprzestania lektury.

Bardzo często nie mogłem oderwać się od czytania, doskonale zdając sobie sprawę, że niekoniecznie obcuję z literaturą przez duże „L". Literatura przez duże „L" to coś, co już doskonale znam; coś, co potrafię zidentyfikować na mocy własnego doświadczenia lekturowego i swojego kulturowego emploi. A przecież my wszyscy, miłośnicy słowa pisanego, nade wszystko oczekujemy zaskoczenia, podważenia naszych lekturowych przyzwyczajeń, konfuzji w spotkaniu z odmiennością i oryginalnością indywidualnego wysłowienia.

Rzecz jasna sporo tekstów, z którymi przez lata obcowałem jako juror konkursu, stanowi realizacją tematycznych dominant, z których najwyraźniej pierwszeństwo mają kwestie tożsamościowe, egzystencjalna autoteliczność, opis miejsc i doświadczeń inicjalnych, wreszcie silnie sprofilowana twórczość gatunkowa jak s.f. lub literatura małych ojczyzn. W głębokim sensie teksty nadsyłane na konkurs stanowią odbicie tendencji obecnych w literaturze współczesnej. Zadziwiająco duża ilość autorów świetnie opanowała literacki warsztat i dobrze orientuje się

w najlepszych, bieżących wcieleniach prozy artystycznej i poezji. Jednak każdorazowa lektura nadesłanych prac, w moim przypadku, jest próbą wyłowienia tych tekstów, które wydają się niepewne kierunku własnych poszukiwań, a jednocześnie wytwarzają poprzez brak zdecydowanej, gatunkowej maski, samoistną wartość dodaną, którą jestem skłonny nazwać artyzmem. Trudno naprędce zdefiniować precyzyjnie ów artyzm. Jestem skłonny zaryzykować twierdzenie, że bierze się on z samej energii języka, z jego specyficznego użycia dla własnych, niepodległych potrzeb wyobraźni. Wydaje się, że poezja stanowi naturalne środowisko erupcji indywidualnej wyobraźni. Jednak często proza stanowić może równie obiecujące pole wyobraźniowej ewokacji.

Jestem przekonany, idąc za intuicją Mirona Białoszewskiego, że utrzymanie ostrej granicy między poezją a prozą wydaje się dziś stosunkowo karkołomne. Sporo tekstów finalnie nagrodzonych w konkursie „Krajobrazy słowa" zaświadcza o imaginatywnym charakterze gatunkowych podziałów. Nie znaczy to oczywiście, że z zasady odrzucam dobrą, rzemieślniczą robotę, wykonaną w granicach sztuki określonego z góry gatunku literackiego. Wręcz przeciwnie. Doceniam ją jako potencjał wyjścia poza gatunkowe ramy. Prace w jury pozwoliły właśnie, na przestrzeni paru lat, wypracować ciekawą formułę szerokiego pola wskazań, gdzie prezentowane są tak rzemieślnicze majstersztyki, jak i zupełnie ryzykowne, wstępne zapowiedzi silnych pisarskich indywidualności, które być może w przyszłości odkształcą obraz literatury współczesnej. Stworzeniu szerokopasmowej panoramy literackich gestów służyć powinna praca każdego jurora konkursu literackiego. Tak przynajmniej ja ją postrzegam. Tak niepostrzeżenie małe „l" zmienia się w duże „L".

XXIV Konkurs literacki
Krajobrazy Słowa

Aleksandra Paprota

godło „IDĄ NOCĄ”

NAGRODA GŁÓWNA
– Nagroda Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle

Aleksandra Paprota

Urodzona w 1987 r. w Opolu. Autorka zbioru miniatur prozatorskich „Miastka Zapominane” oraz opowieści dla dzieci „Po Nieostrzyżonej Stronie Górki”. Chętnie czyta książki dla małych i dużych czytelników oraz je tworzy. Inspiruje się baśniami i stara się żyć tak, by jej własna historia zakończyła się happy endem. Mieszka wśród krasnali, czyli we Wrocławiu. Nie może się doczekać, aż ukażą się jej kolejne książki.

Nocna siostra, dzienna matka

Gdybym była moją siostrą... – zastanawiam się czasami. Co odwiedza mnie co noc. Wiedzie inne życie – w znacznie niższym domu. Nikt jej nie mówi, co ma robić. Wszyscy przyklaskują jej decyzjom. Cieszą się jej szczęściem. Czasem aż chce mi się rzygać, jak na nią patrzę. Wygląda tak jak ja. To moja senna bliźniaczka. A jednak – tyle ją ode mnie różni. Albo mnie od niej. Nie wiem już, która z nas jest bardziej prawdziwa. Może ja też się jej śnię? Ale pewnie – ona mi nie zazdrości. Bo szczerze mówiąc – nie bardzo ma czego.

Jest ode mnie ładniejsza. Nieco szczuplejsza. Nie ma takich umięśnionych łydek. Nie widać fałd tłuszczu na jej brzuchu. A piersi ma jakieś jakby większe. Jej oczy są bardziej błękitne. Rzęsy dłuższe – i ciemniejsze. Jej twarz jakby bardziej symetryczna. Nie ma znamion. Nie ma naczyniek. Nie ma piegów. Pryszczy.

Różnice są subtelne. Ale ona wygląda – jakby wyszła z photoshopa. Może tak właśnie powstała? Ktoś zrobił głupi żart: pewnego dnia mnie porwał i sklonował. Odesłał do mojego świata. A moją zreplikowaną wersję – podreperował według obowiązujących kryteriów piękna. I umieścił złośliwie w snach – by uprzykrzyć mi życie. Nie pamiętam – kiedy senna siostra się pojawiła. To chyba nie było takie nagłe. Z dnia na dzień. Wykluwała się ze mnie powoli. Kiedyś była mną. A przynajmniej – taka jak ja. I się z nią utożsamiałam. Ale stopniowo zaczynała się zmieniać. Gdy ja obcinałam włosy czy je farbowałam – ona pozostawała przy dawnej fryzurze. Czasem tylko pojawiała się u niej podobna grzywka. Nigdy nie założyła okularów. A jej ubrania – stawały się coraz bardziej zwiewne i kobiece. Usposobienie coraz łagodniejsze i bardziej słodkie. A rysy twarzy – bardziej subtelne.

Z każdym dniem coraz bardziej się różnimy. Już teraz niewiele mam wspólnego z moim lustrzanym odbiciem. Gdyby nas razem zobaczono

– wzięto by nas za rodzeństwo, ale nie bliźnięta. A jak będzie za kilka lat? Czy pomyślą, że jesteśmy kuzynkami? A za kilkadziesiąt? Czy ona będzie jak supermodelka, a ja – kobiecina o szarej cerze i spracowanych dłoniach?

Jestem brzydką siostrą. Ta złą. Dlatego pewnie przypadła mi gorsza matka. Gorszy świat. Ta jej – jest całkiem podobna do mojej, co jeszcze bardziej mnie rozwściecza. Ale nie mieszka na ścianie. Funkcjonuje w przestrzeni domu. Przemieszcza się po pokojach. Patrzy się. Też intensywnie. Ale jakże inaczej.

Z przekrzywioną na bok głową. Z uśmiechem. Tyle w nim ciepła, że można by ugotować zupę. Najbardziej chciałabym pomidorową. Dobrze zmiksowaną. Ze śmietaną 30%. Pewnie by ją dla mnie chętne przyrządziła. A nie tak patrzyła ze ściany. I mierzyła – jaką to mam grubą dupę. Wspierałaby mnie w wysiłkach. Interesowałaby się – jak mi idzie z chłopcami. Jej wzrok nie wyrażałby „jesteś dziwką".

Zresztą – moja nocna siostra jest „z dobrego domu". Jej ojciec co prawda gdzieś się zapodział, ale matka wynagrodziła jej zgubę. Nocna siostra chodzi z przystojnym i bystrym chłopakiem. Jednym jedynym. Od kilku lat tym samym. Tańczy lepiej ode mnie. Ma więcej znajomych. Przyjaciół. A ja jestem sama. I tylko w tańcu – mam szansę na kontakt. Tylko wtedy mnie lubią i chcą.

Zazdroszczę mojej siostrze i mam ochotę ją zabić. Próbowałam śnić świadomie. Próbowałam ją gonić. Ale ona – jest ode mnie lepsza we wszystkim. Szybciej biega. Ma lepszy refleks. Chociaż wcale nie... Zabicie nie jest tym, co NAJBARDZIEJ chciałabym jej zrobić. Chciałabym się z nią po prostu zamienić. Jak w „Pąsowej róży". Jak w „Małgosia kontra Małgosia". I niech sobie zobaczy, jak to jest być mną. Niech wypadnie z tego swojego idealnego życia. I utopi się w rzeczywistości, gdzie Winda śledzi każdy twój ruch, a kobieta ze ściany patrzy tak bardzo, że kolejną noc nie możesz zasnąć. Nie dałaby sobie w takim świecie rady. Od razu by poległa. Popłakała się. Może nawet – sama się zabiła.

A może dlatego dostałyśmy różne światy? Bo ja jestem ta silna, a ona – słaba? Wygodnie mi tak myśleć. Że to ja jestem ta lepsza... Że jest jakieś przeznaczenie. Że ten podział ról ma jakikolwiek sens. Że to swego rodzaju sprawiedliwość. Ale tak naprawdę, to nie wierzę. Widzę nierówność i nie wiem, z czego wynika. Może chcę nie wiedzieć? Bo gdy o tym myślę – nasuwa się tylko jedno wyjaśnienie.

Że jestem niechcianą córką. Tą gorszą bliźniaczką. Jedną z tych, o których kręcą filmy dokumentalne. Bliźniacze zbrodnie ekscytują, a ja idealnie pasuję do roli tego rodzaju morderczyni. Wzgardzona przez los. Niebiańskich rodziców. Bierze odwet na siostrze, by dać upust frustracji i zdobyć wszystko to, o czym kiedyś marzyła. Jestem jednym z tych dwojga dzieci, które porzucano w lesie. Pod drzwiami kościołów. Na rozstaju dróg. Bo wierzono, że z prawego łoża może pochodzić tylko jedno z bliźniąt. Albo – że drugie jest diabelskim pomiotem.

Moje praktyki życiowe mogłyby na to wskazywać. Jestem nieczysta. Tańczę, z kim popadnie. Nawet nie znam ich imion. A moja nocna siostra? Z klasą odmawia zalotnikom. Nie ceni dobrej zabawy. Czeka aż stanie się to, co dla niej właściwe. Poślubi tego swojego Jedynego. I zostanie księżniczką – z wyższej klasy.

Może w jej przypadku to rzeczywiście ma sens. Bo książę z bajki już ją znalazł. Taki inteligentny i przedsiębiorczy. Z potencjałem. Oczywiście, nie zrobiła nic – by zdobyć jego serce. Po prostu się uśmiechała. Spojrzała we właściwym kierunku. Zachichotała – gdy mówił nudny kawał. Tak, to w jej przypadku wystarczy. Książę padnie do jej stóp i poprosi ją o rękę.

Jesteśmy jak te siostry bliźniaczki. Z których jedna z każdym dniem stawała się coraz brzydsza, a druga – coraz piękniejsza. Tej pierwszej przybywało mądrości, zaś drugiej – ubywało. Niestety, ja nie otrzymuję rekompensaty za systematyczną utratę urody. Nie dostałam odszkodowania, z którego mogłabym sfinansować sobie operację plastyczną.

Czeka nas jakże inny los. Jej zawsze przypada dobre zakończenie. Scenariusze się zmieniają, ale schemat jest zawsze taki sam. Trudności znikają niepostrzeżenie. Nic nie może powstrzymać szczęścia. Bo role zostały już dawno przydzielone. Nawet gdy zamkną ją w wieży – królewicz wespnie się po jej intensywnie odżywionych włosach. Nawet gdy królewicza będzie próbował zabić groźny smok, moja nocna siostra niczym Cud-Maria Długowłosa chlaśnie potwora warkoczem po oczach, a Ten-Który-Ją-Wybrał zdąży dosięgnąć miecza, zabić poczwarę i dotrzeć do Tej-Która-Jest-Mu-Przeznaczona.

Nie mogę się równać z moja siostrą. Chciałabym mieć takie włosy jak ona... Ale moje – jakoś chętniej rosną na rękach i nogach. Te na głowie są liche. Cienkie. Pozbawione blasku. Wypadają garściami. I nic im nie pomoże. Krystalicznie czyste szampony do włosów zniszczonych i łamliwych. Ekspresowe. Dwufazowe. Multifunkcyjne. Ultralekkie. Odżywki balansujące. Serum na porost. Odbudowujące. Bez spłukiwania. Rekonstruujące włosy uwrażliwione. Organiczne. Orientalne. Naprawcze. Olejki. 60-sekundowe wzmacniające maski z proteinami kaszmiru i kolagenem. Spiruliną i kreatyną. Błotem karnalitowym. Zieloną glinką. Bazy ochronne. Żele zapobiegające wypadaniu. Aktywator gęstości włosów z kompleksem 12 ekstraktów stymulujących wzrost włosów i pogrubiających je od środka. Nierafinowane dermatologiczne masła regeneracyjne. Molekularnie odżywcze luksusowe emulsje zakwaszające pobudzające wzrost baby hair. Gorące kuracje oczyszczająco-peelingujące do skóry głowy. Jedwabne. Proteinowe. Na bazie płynnej keratyny. Wyciągu z drzewa egipskiego. Naturalne mgiełki ochronne z filtrem UVA i UVB. Zwiększające objętość bez obciążenia. Niwelujące niepożądany żółtawy odcień. Do włosów tłustych. Farbowanych. Niezdyscyplinownych. Wymagających. Z wyciągiem z bursztynu. Fluidy na końcówki włosów odnawiające ich strukturę. Koreańskie wcierki do skóry głowy. Termoaktywny balsam. Ajurwedyjskie toniki odświeżające bez parabenów. Silikonów. Alhoholi. Rewitalizujące mleczka chroniące włosy przed działaniem wysokiej temperatury. Nektary i spraye nawilżająco-rozświetlające.

Szybko absorbowane. Ampułki do skóry głowy z unikalną kompozycją składników. Ziołowy eliksir piękności z innowacyjną formułą. Nadający blasku już po pierwszym użyciu. Woda pokrzywowa i brzozowa. Kąpiele odbudowujące włosy od wnętrza. Ze specjalnie opracowanym aktywnym kompleksem wzmacniającym skręt niezależnie od pogody. Kremy dodające cebulkom energii i poprawiające ich produktywność. Płyny odżywcze do skóry głowy na dzień i na noc. Głęboko odżywiające woski. Odmładzające lotiony zapobiegające wypadaniu włosów 10w1.

Żaden ubik mi nie pomoże. Bo to nie moja bajka. Nie moje przeznaczenie.

Czasem jednak wyglądam przez okno. Liczę na to, że pewnego dnia nadleci mój ukochany jako Finist Jasny, Cud Sokół. Że podążę jego śladem. Zniszczę trzy pary żelaznych trzewików. Zedrę trzy żelazne kostury. Zgryzę trzy kamienne chleby. I odnajdę go. Za siódmą górą. Za siódmą rzeką. W królestwie na końcu świata. I mimo, że będzie w mocy fałszywej ukochanej – odzyskam jego serce i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

To naiwne marzenia. Pisana jest mi inna opowieść. Porwie mnie kruk. Zdradliwa mysz będzie chciała wydać za mąż za ohydnego szczura lub chomika. Ropucha będzie jeszcze gorsza i z jakichś powodów uzna mnie za idealną kandydatkę na synową. Nie uchroni mnie jabłonka. Orzeł nie przygarnie pod swe skrzydła. Choćbym pozrywała jabłka, pod którymi uginają się gałęzie. Choćbym uratowała pisklęta przed drapieżnikiem. Na wszystko trzeba samemu zapracować. Umiesz liczyć – licz na siebie. Bo w życiu trzeba być silnym. Bo każdy jest kowalem swojego losu.

Szala dobrych i złych uczynków to przeżytek. Teraz waży się kiecki. Cycki. Hocki- klocki. Niebo i piekło są tylko w gębie. Czyściec – gdy skończy Ci się ubik. Przepływać będzie energia. Krążyć będzie materia. Na wieki wieków. Co będzie ze mną? Wszystko już zostało powiedziane, ale mogę dodać kilka szczegółów. Popłynę na liściu w daleki świat. Złowi mnie rybak, ale ponieważ nie będę mogła spełnić jego trzech życzeń

– sprzeda mnie żarłocznej Bestii. Ta nie przemieni się w księcia z bajki. Za to będzie chciała – bym ja – przemieniła się w Kopciuszka. Ale stopy nie wejdą do pantofelka. Matka by kazała. Obcinać palce. Pięty. Nie będę mogła tego zrobić. Ucieknę w słoneczny poranek i roztopię się jak rosyjska Śnieżka.

Życie rozdaje niektórym role protagonistek baśniowych, innym – złych sióstr. I za wiele z tym nie można zrobić, gdy tak już Cię obsadzą. Jakkolwiek byś się starała – i tak jakaś perliczka wypaple, jak jest naprawdę. Uświadomi księcia, że pantofelki wcale na Ciebie nie pasują. Na nic zda się ból. Poświęcenie. Dążenie do perfekcji. To, że wbiłaś stopę w bucik i mało nie umarłaś z bólu i wykrwawienia. Na nic obcinanie palców i pięt. Bo nie jesteś doskonała i nigdy nie będziesz. Nie urodziłaś się taką? To graj swoją rolę. Nie staraj się rozumieć, bo nie zrozumiesz. Zaakceptuj, że jest jak jest – jeśli nie chcesz zwariować.

Ale ja nie potrafię. Wciąż odzywa się we mnie bunt. Myśl – że nie tak przecież miało być. Że w scenariuszu jest jakaś pomyłka. Że zamieniono mnie z kimś przy narodzinach. Albo – że błąd został popełniony przy przydzielaniu cielesności. Po co komu we śnie ciało – tyle piękniejsze niż moje, skoro wszystko, co się tam dzieje – nie dzieje się naprawdę? Skoro i tak nie chce z niego korzystać? Czuję się taka skrzywdzona – jakby Bóg o mnie zapomniał. Przez przypadek zrzucił na ziemię – nim zostałam ukończona. Zanim wyrzeźbił moje ciało w detalach. Ot, popełnił głupi błąd. Bo każdemu się zdarza. Nawet Wszechmogącemu. Choć takie pomyłki są starannie tuszowane – by nikt się nie dowiedział. Że trącił ludzką figurkę łokciem – gdy chciał posolić zupę.

A może – Bóg wcale nie istnieje. Albo jest demiurgiem – co kpi sobie ze mnie w najlepsze? A może ten senny, równoległy świat wynika z podjętych przez matkę decyzji? Może życie się rozwarstwia – wraz z każdą możliwą decyzją, tworząc układankę, której poszczególne wersje tak mogą się od siebie różnić? Ale nasz ojciec musiał być podobny. Mój i mojej siostry. Widać w obu światach matka ma podobne preferencje. My szczególnie

jej nie przypominamy. Tylko – kim on jest. Ten człowiek – który nas opuścił. W obu światach. Czy gdzieś tam. Gdziekolwiek. I czy istnieje świat – gdzie pozostał przy nas na zawsze? Czy kiedy już wypełnił matkę płynem – ulotnił się jak gaz? Jak te wszystkie kukły, których za nic nie pamiętam. Mniejsza o to. W tym świecie nie ma miejsca dla mężczyzn.

Może mają inne wieże? Może też im się śni ktoś znacznie od nich lepszy? Może dlatego tak tańczą – by dorównać swoim nocnym braciom? Nawet gdy brak ochoty i tchu. Trudno powiedzieć. Jestem ciekawa ich piekła – ale nie na tyle, by chcieć do niego trafić. Moje wystarczy mi w zupełności. A gdy tańczę z ciałami – zdają mi się tak głupi, że wcale mi ich nie żal.

MATKA JEST WSZĘDZIE. Rozciąga się aż po horyzont, rozsadzając życie. Uprzykrzając jego każdy dzień. Krępuje spódnicami. Szpilkami. Zamazuje twarz szminkami. Czasem aż nie mogę się poznać w lustrze – gdy zmywam makijaż. To naprawdę ja? – zadaję sobie pytanie. Trochę mnie przypomina – ale jest jeszcze gorsza: niż ja na co dzień. Już o tej ze snu – nie wspominając. MATKA CIERPI. W bólu rodzi dzieci, które sprawiają jej ból również wiele dni i lat potem. MATKA KOCHA. Nawet jak nią poniewierają. Jak mąż ma inną. Jak ma ją za nic. MATKA JEST TYLKO JEDNA. Nie znosi konkurencji. Ciocie są tylko z nazwy. Córki tylko do pomocy. Ojcowie? Ci przecież nie umieją się dogadać z dzieckiem ani się nim zająć. Dziadkowie to mogą co najwyżej wziąć na sanki. Huśtawki. Rower. A babcie? Babcie są za stare. I się nie znają. Wszak były MATKAMI NIEDOSKONAŁYMI. A to samo przez się dowodzi. Że już raz zawaliły. Że teraz też zawalą.

MATKA JEST TOTALNA. Nie w smak jej konkurencja. Podróże do Tokio. Paryża. Czy choćby dobra praca. Macierzyństwo wymaga perfekcji i poświęceń. Ślęczenia nad białymi kafelkami z mopem. Szmatą. Szczotką. Gąbką. Miotłą. Wiadrem. By można było jeść z podłogi. Tylko po co? Klęczenia w kościele. Na zimnych schodkach. W cienkich rajstopach. Spódnicy co najmniej do połowy łydki. Siedzenia godzinami nad

lekcjami z dzieckiem. Nad każdą stawianą literką. Każdym szlaczkiem. Każdym kroczkiem. Każdym potknięciem.

Każdym zaplątaniem w fałdach spódnicy. Gdy dziecko wpadnie między zagniecenia materiału – już jest stracone. Chyba, że szybko się wyrwie. Odwróci uwagę matki. Zanurzone w szary welur – weźmie go za niebo. A jego życie pozostanie do końca w kolorze maminej spódnicy. Nawet gdy maluch ucieknie – to powróci. Bo gdy tego nie zrobi – matka rozszarpie go na kawałki. Zamknie w ciasnym świecie. Osaczy. Dopóki dziecko nie spełni jej woli.

MATKA JEST TOKSYCZNA. Bo nie wystarcza jej – bycie wystarczająco dobrą. Chce być wszystkim. Dla SWOJEJ części. Rozprzestrzeniać się w nieskończoność. Rodzić i zabijać. Kontrolować – by materiał, z którego są uszyte przedmioty, które wydała na świat, spełniał najwyższe standardy.

KULTURA JEST MATKĄ.

–

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Anna Kokot

godło: „Consolamentum”

I nagroda w dziedzinie prozy

Anna Kokot

Urodzona w Poznaniu, z wykształcenia politolog i dziennikarka. Debiutowała w Klubie Literackim Centrum Kultury Zamek w Poznaniu - obecnie Klub Literacki „Dąbrówka”. Przez wiele lat dziennikarka „Głosu Wielkopolskiego”. Obecnie publikuje między innymi w „Akancie”, „Gońcu Ziemi Wronieckiej”, „Protokole Kulturalnym” oraz zajmuje się krytyką literacką. Jej teksty pojawiły się w kilkunastu almanachach literackich, wielu pismach („Merkuriuszu”, „Metaforze”, „Przeglądzie Wielkopolskim”, „Ciechanowskich Zeszytach Literackich”) oraz wydawanej w Chinach publikacji „World Poetry Yearbook”. Tłumaczona na język angielski i chiński.

Studium przepoczwarzenia

To było tam i wtedy. Świat imaginarium.

Poranek, słońce, zasłonki w dmuchawce, szczekanie psa sąsiada, zapach kakao, szczęk sztućców, kromka grahama z dżemem jagodowym, okropnie fałszowana piosenka ulatniająca się z łazienki, wybuchy śmiechu szczerbatej Nelki, niezadowolone fukanie nad miską z kocimi chrupkami Puszysława, czerwona szminka na ustach mamy, kakofonia odgłosów radiowych. Ach – i jeszcze wojna. Pod powiekami, przed powiekami, za i nad głową, ale najsilniej grzmiąca kanonadami w mózgu. Wbita gęsto myślami w jestestwo jak szpilki w poduszeczkę szyjącej pani domu. Wojna „z" oraz wojna „o". Otwarta, na pierwszej linii frontu, o życie. Moje. Płciowe.

Dziecięce zabawki: 100% plastiku wraz z bisfenolem A oraz wielopierścieniowymi węglowodorami aromatycznymi.

Na początku było słowo: „chcę!" i „chcę!" było na początku, a bez „chcę!" nic się nie stało, co się stało. Na początku był plastikowy pistolet, wymuszony na tacie podczas lokalnego odpustu parafialnego. Impreza ta przyciągała wówczas znudzoną dzieciarnię tuż pod rachityczny płot proboszcza, a towary tam wystawiane sugerowały maluchom, starszakom i nastolatkom, że w rzeczy samej – „plastic is fantastic". Moje nogi wierzgnęły radośnie na widok pistoletu na przylepne strzałki, który w całej swej zgniłozielonej brzydocie prężył się na blacie byle jak zbitego w całość straganu. Wrosłam przed nim w ziemię, zaparłam się, chwytając go w sidła zakochanego spojrzenia dziecka chcącego. „Mój ci on!"- mogłabym pomyśleć miłośnie, gdybym była już po lekturze Sienkiewicza, ale w tamtym czasie i wieku musiało mi wystarczyć tylko dziecięce słowo – wytrych: „Chcę!". Najwyraźniej chciałam tak bardzo, że tata nie odważył

się stawać na drodze mojej nowej, wielkiej miłości. Włożył dłoń do kieszeni niedzielnych spodni dzwonów z kantem (toż to lata 70. XX wieku) i wyciągnął z niej nieco zabrudzoną podszewkę… oraz, uff! - parę złotych na moją rozpustę. Więc tak jak chciałam – zabawkę dostałam i zaraz zaczęłam manewrować bronią, szukając obiektów godnych zostać moim wymarzonym celem. Lekko zaczerwieniony nos proboszcza, zmarszczone czoło taty, pepitka na sukience zarozumiałej koleżanki z ulicy, słynny „zimny łokieć" miejscowego zawadiaki Zenka, okulary srogiej i chłodnej nauczycielki matematyki? Nieee…

Już na swoim przydomowym podwórku hycnęłam na płot i obrałam za cel jadące samochody. Niestety, mieszkałam na wsi, w czasach przed inwazją powypadkowych aut, sprowadzanych przez przedsiębiorczych rodaków zza zachodniej granicy. Czterech kółek było na naszej ulicy jak na lekarstwo. I to gorzkie na dodatek. Zawiedziona wisiałam więc na płocie przez dwie godziny i szukałam na muszce jakiegoś godnego erzacu. Przypadkowi przechodnie? Kot czarny, kot łaciaty, sąsiadka z cukrzycą? Krzaki malin rosnące naprzeciwko? Kubistyczny w kształcie kamień na drodze? Ostatecznie jednak cel okazywał się nie być tak ważny: liczyło się przede wszystkim trzymanie pistoletu w dziecięcej, pulchnej dłoni, skanowanie terenu wzrokiem, namierzanie obiektu strzelniczego, celowanie doń oraz naciskanie spustu. Dotykanie cyngla, drażnienie się z nim, masowanie go ostrożnie wilgotną opuszką palca wskazującego. Tak-nie, tak-nie, tak-nie, tak! – to było najprzyjemniejsze.

To byłam ówczesna ja: właścicielka paru drewnianych karabinów, znalezionych w formie wyczekiwanych, wymodlonych prezentów pod choinką i kilkunastu pistoletów o różnorakiej skali rażenia, wykonanych w krajach tak zwanej demokracji ludowej z najgorszej jakości plastików odpadowych epoki socjalizmu. Z częścią z tych karabinów sypiałam regularnie w amoku zakochania w jednym łóżku, choć budziłam się potem z odciśniętym na policzku kształtem lufy czy rękojeści. To byłam ja: dumna właścicielka uparcie plastikowego, dziecięcego zestawu do szermierki,

który od czasu do czasu drzemał także w moim towarzystwie w łóżku, gdzieś pod moimi nogami. To byłam ja: właścicielka miniaturowej, granatowej armatki, strzelającej kanonadą plastikowych, kolorowych piłeczek od ping ponga oraz nieustraszony dowódca batalionu kilkucentymetrowych, ciemnozielonych czołgów z materiałów sztucznych, z których odrywałam gąsienice, lufy i wieżyczki, szukając odpowiedzi na najważniejsze pytanie dziecięce tamtych czasów: „Co jest w środku?". Oczywiście w środku było nic. Niby to wiedziałam, pustka była wręcz wyczuwalna nawet niedoświadczonymi, dziecięcymi palcami, ale i tak bezlitośnie demolowałam osprzęt wojskowy. Czasami wyobrażałam sobie, że gdy tylko oderwę kawałek czołgu, uda mi się przez ową wyrwę w plastiku w jakiś magiczny sposób dostać się do wnętrza pojazdu opancerzonego i zasiąść za jego sterami. Cóż, nigdy mi się to jakoś nie udało, choć kręciłam na palcu pierścionek ochrzczony, jak i ten filmowy – pierścionkiem Arabeli i wypowiadałam życzenie. Pierścionek przekręcał jednak zawsze moje marzenie i oto rzeczywiście zasiadałam za sterami, tyle, że… odkurzacza. Rura wszystko i wszędzie ssąca – na wyraźny rozkaz mamy, wymagający ode mnie „posprzątania tego dziadowskiego bałaganu" – pożerała wybebeszone resztki czołgów: łykała lufy, wieżyczki, koła zębate i włazy.

Spodnie chłopięce z dwiema kieszeniami na wzrost 120 cm, 100 procent poliester, prać w temperaturze 30 stopni Celsjusza.

To byłam ja: wszędobylski urwis z wiecznie poobijanymi i posiniaczonymi kolanami, oklejonymi plątaniną plastrów w różnych stopniach zabrudzenia. Moja szafka tolerowała na swoich półkach wyłącznie spodenki o chłopięcym kroju, pełne naszytych łat, które traktowałam jak medale przyznane mi za odwagę na wymyślonej przeze mnie wojnie. Ubrań dziewczęcych nie nosiłam. Jedyna sukienka, którą moja mama siłą na mnie wymogła – komunijna, leżała wciśnięta wysoko na najwyższą półkę. Gdy tylko choć jej rąbek wystawał spomiędzy moich chłopięcych ubrań na widok publiczny, przystawiałam do szafy krzesło i z jego wysokości

brutalnymi ruchami oraz z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy ugniatałam sukienkę tak długo, aż ponownie chowała się z niejakim wstydem za męską odzież dziecięcą.

Szczególnym uczuciem darzyłam chłopięce majtki. Dziewczęcy pudrowy róż, odcienie żółtego czy pomarańczowego – te barwy nie pojawiały się w szufladach mojej komody. Majtki, które nosiłam, były niebieskie, granatowe, ciemnozielone, czasami czarne, w ostateczności zdarzały się i białe. Chłopięce naturalnie, z wszytym nadmiarem materiału w wiadomej ich części. Co ranek nakładałam je na siebie uroczyście w łazience, czując radosne podniecenie: oto i ja stawałam się chłopakiem podczas tego konfekcyjnego misterium! Prawdziwym mężczyzną, z charakterystycznym, mitycznym wręcz organem! Miałam wrażenie, że salutują przede mną stojące na łazienkowej półce wody kolońskie taty - Przemysławka i Brutal. Chcąc sama siebie przekonać o realności mojej metamorfozy – wypychałam sflaczałe, puste miejsce w chłopięcych majtkach przyniesionymi z pokoju skarpetkami, a potem oglądałam efekty tej pracy z profilu, w lustrze. Owszem, owszem – tak, były zadowalające. Obiecująca wypukłość przeobrażała mnie w moich własnych oczach w stuprocentowego samca alfa. Dzień był mój! Koledzy po męskości – drżyjcie! Oto nadchodzę!

Cięcie na zapałkę, z baczkami. Amplifikacja tożsamości.

Nie chciałam w niczym przypominać kariatydy – kobiety z koszem na głowie, pełniącej funkcję głowicy kolumny. Żadnych kobiet! Żadnych długich włosów, rozwichrzonych w dziecięce afro czy zaplecionych w ogniwa warkocza. A więc cięcie. Włosy miały być krótkie. Mężczyźni hipisi o długich piórach zapuszczanych od Woodstocku 1969 roku jakoś nie wydawali mi się wzorem godnym naśladowania. Może zresztą jeszcze nawet o nich nie słyszałam, wujka Google'a nie było wówczas na świecie, więc mi tego nie podpowiedział. Wizyta w zakładzie fryzjerskim była

moim prywatnym świętem – oto coraz bardziej w swoich oczach upodabniałam się do chłopaka! W podskokach szłam z mamą na cięcie, a wprost w ekstazie byłam, gdy fryzjerki na mój widok pytały uprzejmie mamę: „Jak mamy ostrzyc pani syna?". Więc jednak! Przeobrażenie postępowało! Dokonywała się skuteczna metamorfoza! Z radości wstrzymywałam oddech, ale mama wyprowadzała panie z błędu: „To przecież dziewczynka! Proszę ją ściąć na krótko". One przepraszały, ja się wściekałam. A już tak dobrze mi szło! Fryzjerki dały się oczarować dżentelmenowi w moim ciele, tylko mama wszystko niszczyła!

Ze wściekłością siadałam na fotel, a gdy fryzjerka pochylała się nad moimi ramionami, by zawiązać mi wokół szyi pelerynę, szeptałam do niej cicho, gorączkowo, błagalnie – tak, by nie słyszało mnie wszechsłyszące ucho mamy: „Niech pani zrobi mi baczki! Proszę! Proszę!". Mama wówczas zwykle nie wychylając się nawet zza damskiej gazety, syczała przez zaciśnięte zęby: „Wszystko słyszałam! Żadnych baczków! To dziewczynka! Dziew-czyn-ka!". Przegrywałam… Ale tylko na terenie zakładu fryzjerskiego! W domu sama przed lustrem modyfikowałam fryzurę – wycinając nożyczkami do paznokci kilka włosków, udających zarost przy uszach. Dla lepszego efektu smarowałam jeszcze te sztuczne pejsy odrobiną kremu Nivea i dopiero tak dopracowała pokazywałam się kolegom. Zdanie koleżanek zupełnie się nie liczyło. Nadciągałam nowa ja, z pejsami jak Elvis Presley.

Po postrzyżynach z łatwością wprowadzałam w błąd co do swojej płci wielu uczestników sfery publicznej. No, może sąsiedzi znali mnie z widzenia zbyt dobrze, ale już większość dzieci w szkole i osoby z sąsiednich miejscowości nie miały szans, by zobaczyć we mnie kobietę. Zbyt dobrze się kamuflowałam. Sprawiało mi to olbrzymią satysfakcję. Choć zdawałam sobie sprawę, że fizycznie to niemożliwe, wciąż jakaś część dziecka we mnie wierzyła, że pewnego dnia położę się spać jako dziewczynka (bleee!), a wstanę jako pełnokrwisty chłopak (pełne zachwytu ach!).

Płyn owodniowy prawidłowy, płód w normie, Łukasz.

Nie pamiętam, w którym momencie uświadomiłam sobie, że chcę być tylko chłopakiem. Może nastąpiło to już w życiu płodowym? W tamtych czasach lekarze nie wykonywali jeszcze u kobiet w ciąży badań USG, ale gdyby były – czy lekarz zauważyłby w trakcie manewrowania głowicą aparatury, że choć organy mam dziewczęce, to mózg męski? Mama w ciąży ze mną piękniała, urodziwa była niczym gwiazda kina z Hollywood, więc przepowiadano po tym i po tych jej smakach na kwaśne, że urodzi chłopca. Miała już nawet przygotowane imię: Łukasz. Być może usłyszałam to imię w okresie prenatalnym, gdy rezonowało we wnętrzu macicy, wypowiedziane przenikliwym głosem mamy? Świetnie zatem! Jak widać prawdopodobnie przygotowałam się do roli chłopaka już przed swoimi narodzinami. Gdy w końcu mama po 26 godzinach porodu wypchnęła mnie na ten świat, za oczywisty przyjęłam fakt, że oto jestem ukochanym synkiem swoich rodziców. Łukaszkiem.

Wrzeszczałam jak opętana demonami, gdy tylko ktoś zbliżał się do mojego łóżeczka z różowym kaftanikiem w dłoniach. Grymasiłam zawodowo, gdy ktoś próbował założyć mi zbyt fikuśne czy dziewczyńskie w moim mniemaniu fatałaszki. Najwygodniej czułam się w neutralnych fasonowo śpioszkach w stonowanych barwach, a już pełnię zadowolenia przeżywałam w chłopięcych spodenkach. Najchętniej w ogóle bym ich z siebie nie zdejmowała. Gdy były już naprawdę brudne i zasikane, mama zdejmowała je ze mnie siłą, walcząc z moimi heroicznie kopiącymi ją nogami. Ubrana w dwie męskie nogawki, przez nikogo nie niepokojona, byłam najspokojniejsza i najgrzeczniejsza, cud aniołek w męskich portkach. Zasypiałam w nich modelowo, jakbym była maluchem z popularnego wówczas podręcznika „Małe dziecko". Najwyraźniej dobór takiej męskiej konfekcji odpowiadał moim dziecięcym gustom.

Z upływem lat upodobanie do chłopięcych ubrań tylko się u mnie pogłębiało. Już tylko widok w rękach mamy jakiejkolwiek części dziewczęcej garderoby wywoływał u mnie atak szału. Nie chciałam nawet dotknąć

misternych koronek sukienek, jakby paliły mnie z daleka żywym ogniem. Gdy tylko nauczyłam się płynnie mówić, zmieniłam też imię, którym publicznie się przedstawiałam: odtąd nie byłam już Anią, tylko… Michałem.

Transformacja w toku. Słowna ekwilibrystyka.

Byłam przekonana, że tylko nosząc imię Michał, mogę czuć się jak stuprocentowy facet. Już nie jestem w stanie wyciągnąć z pamięci odpowiedzi na pytanie, dlaczego wybrałam właśnie takie imię. Być może dziadek opowiedział mi kiedyś, że tak nazywali się dwaj pradziadkowie, takie imię nosił mój ulubiony kuzyn. No i jeszcze Mały Rycerz, charakterystycznie poruszający wąsikami – imć Pan Michał Wołodyjowski. Jego czarno-białe przygody, nadawane w telewizji w odcinkach, umilały wspólne popołudnia moje i dziadka Ignacego.

Odtąd, kiedy tylko udało mi się wychylić głowę z mojego dziecięcego wózka, wołałam do wszystkich wkoło radośnie: „Michał jeśtem!". Jeśli ktokolwiek dał się przekonać, byłam wniebowzięta. Aż drżałam z emocji! Niestety, mama szybko prostowała błędy percepcji, którym ulegali przechodnie i stanowczym głosem komunikowała: „To jest dziewczynka! Moja mała dziewczynka, Ania! Płeć żeńska, do cholery!" – przy tych ostatnich słowach zatykała mi uszy, bym za szybko nie podłapała sztuki przeklinania. Bezskutecznie! Podłapałam… Na dodatek pełen świętego oburzenia wózeczek z Anią darł się wniebogłosy, protestacyjnie: „Nieee! Michał jeśtem!". Zdezorientowani przechodnie pozostawali zatem we frapującej niepewności co do mojej płci, gdyż moje gniewne wrzaski i ryki uniemożliwiały dalszą konwersację pomiędzy nimi a mamą. Ja zaś, gdy tylko zauważałam, że kółka wózka toczą się dalej, a mama nie nazywa mnie już Anią, rezygnowałam z płaczu. Na mojej twarzy Michała pojawiał się triumfalny uśmiech: zwyciężyłem!

Ach, jeszcze te męskie końcówki czasowników! Od chwili, gdy uznałem, że jestem psychicznie gotowy na bycie Michałem, nie chciałem

używać żeńskich form gramatycznych. Mama i ciocie bez przerwy mnie poprawiały, ale dziadek po kilku próbach dał spokój. Jakoś się pogodził z moim wyborem i nawet witał mnie słowami: „O, przyszedł mój wnuczek!". Pokochałem go za to jeszcze bardziej. Dziadek nie komentował, on akceptował. Gdy chwyciła mnie w swoje szpony edukacja szkolna, nauczycielki kategorycznie przeciwstawiły się moim wyborom językowym. Ania miała mówić w szkole poprawnie gramatycznie, a Michał miał zostać ukryty w domu, najlepiej w zakurzonym wnętrzu kufra na strychu. Po wielu miesiącach walk i wzywania rodziców do szkoły wpadłem na iście salomonowe rozwiązanie: będę używał bezokoliczników! Odtąd w szkole wypowiadałem się tak, by nie dało się mnie zidentyfikować z żadną z płci. W domu i wśród kolegów zaś nadal byłem sobą, to znaczy Michałem w wypchanych w strategicznym miejscu spodenkach.

Oczyszczanie ogniem. Rejestr spalania i terra incognita.

Dojrzewałem. Zabawa w wojnę przestała mi wystarczać. Choć pod poduszką na łóżku wciąż gromadziłem prawdziwy arsenał zbrojeniowy, a czołgi nadal bezlitośnie rozjeżdżały tureckie wzory na moim dywanie z Rynku Jeżyckiego, chciałem czegoś więcej. Więcej przygody, więcej adrenaliny, więcej ognia. Właśnie, ognia! Nikt z najbliższej rodziny nigdy nie ośmieliłby się podarować mi lalki, ale od czasu do czasu w naszym domu pojawiały się jakieś dalekie kuzynki czy znajomi rodziców, którzy nic nie wiedzieli o mojej wielkiej obsesji tożsamościowej. Zatem jak gdyby nigdy nic ofiarowywali mi w prezencie te plastikowe straszydła dla dziewczyn, kukiełki szmaciane, długowłose ludziki. Lalki… Paskudne lalki! Ania ich bardzo nie lubiła, ale Michał to już ich nienawidził. Brzydziły mnie ich wymalowane twarze, długie rzęsy, syntetyczne włosy, charakterystyczne krągłości korpusów. Reprezentowały wszystko to, czego się brzydziłem w sobie: jawną, ordynarną kobiecość. Bałem się, że mnie „upupią", przyprawią mi – jak to pisał Gombrowicz – „gębę".

Nie chcąc, by ich damskie jestestwa bezcześciły sanktuarium mojego pokoju, dość szybko nauczyłem się ich pozbywać, a ściślej mówiąc: utylizować. Wszystkie kończyły niczym Joanna d'Arc – palone na stosie. Oczywiście jako dziecko nie mogłem samodzielnie rozpalać ogniska. Ale od czego ma się dziadka! Nie musiałem go długo namawiać, by wyciągnął z szuflady zapałki oraz stare, zżółknięte i wyschnięte na wiór gazety, opisujące plena, zjazdy partii i wszelkiej maści delegatów. Po chwili ognisko w ogrodzie już płonęło, dziadek piekł na długim kiju swoje ulubione, aromatyczne jabłka o pomarszczonej skórce, a ja – stojąc tuż przy jego boku, piekłem na kiju… korpusy lalek. Smażyły się jak na ruszcie, tylko zapach był inny - syntetyczny. Palony plastik wydzielał z pewnością jakieś toksyczne substancje, których nie powinienem wdychać. Z tym nie było zresztą problemu. Pochłonięty misterium ognia, z wrażenia prawie nie oddychałem.

Oderwaną wcześniej głowę lalki zostawiałem sobie na sam koniec. Znakomicie wchodziła na kij, lecz niestety miała jedną wadę: bardzo szybko płonęła. Błyskawicznie znikały włosy, a policzki kapały tłustymi kroplami w samo jądro ognia. Choć w tamtym czasie nie potrafiłbym ubrać tego w słowa, myślę, że zdawałem sobie sprawę z tego, że przechodzę jakiś rytuał oczyszczenia w ogniu – płomienie umownie wypalały we mnie całą dziewczyńskość, kobiecość, okrągłość i potulność. Tak hartował się stalowy chłopak. Michał.

Ćwiczenia z tożsamości. Femininum: ubywanie, zanikanie.

Moja kapryśna, chłopięca duszyczka, miotająca się w ciele dziewczynki, najlepiej czuła się w dziadkowym garażu. Zaciągałem się oparami benzyny, które były w tamtym czasie w moim odczuciu ekwiwalentem najdroższych perfum świata i aktywnie asystowałem dziadkowi w wykonywanych przez niego, supermęskich zajęciach. Uważnie śledziłem tor ruchu jego dłoni, gdy naprawiał swój ukochany motorower komar.

Pilnie przyglądałem się jego wielkim rękom o suchej skórze, gdy łatał w nim opony, sprawdzał gaźnik, regulował sprzęgło. Oczy widziały, serce zapamiętywało.

Miałem też swoje marzenia: zostać żołnierzem, najdzielniejszym z dzielnych. Najprościej mogłem przybliżyć się do tego celu, przebierając się po prostu za wojaka. Od strony uzbrojenia byłem oczywiście świetnie przygotowany, problem stanowił tylko strój. Pewnego dnia i ten kłopot się rozwiązał, choć nieco inaczej, niż sobie wyobrażałem. Czapkę z otokiem i orzełkiem przyniósł mi wujek. Ucieszyłem się szalenie – i jakoś głupio mi było wybrzydzać, że czapka to przecież nie cały strój żołnierza, a tak w ogóle - to nie była czapka wojskowa, tylko milicyjna. Tak, tak – wujkowi udało się załatwić tylko czapkę pochodzącą z magazynu Milicji Obywatelskiej. Nie znając jako dziecko kontekstu politycznego i nie czując na sobie żadnej presji moralnej, zacząłem więc nosić czapkę milicyjną. Niestety, tylko w domu i ogrodzie, na tyłach. Zarówno bowiem wujek, jak i moi rodzice zabronili mi pokazywać się w niej komukolwiek obcemu. Sami też raczej unikali mnie wzrokiem, nawet wujek. Widocznie po namyśle doszedł do wniosku, że to jednak nie był zbyt przemyślany pomysł. Ale to już nie była moja sprawa. Czapka w obwodzie rozmiarem była za duża, więc – z niechęcią czyniąc wyjątek, wsuwałem we włosy szeroką opaskę mamy, która zatrzymywała czapkę na miejscu. I tak oto milicjant – falsyfikat i Michał – falsyfikat – bawili się z kolegami w ogrodzie, siejąc postrach swoimi zbiorami wszelkiego typu plastikowej broni palnej.

Separacja z męskością. Transpozycja emocji.

Nie karmiłem swojej głowy fałszywą ułudą. W głębi duszy wiedziałem, że pewnego dnia Michał będzie musiał umrzeć. Oczywiście nie znałem dokładnej daty jego śmierci. Spokojnie! Nie zamierzałem także przyspieszyć tego smutnego wydarzenia, decydując się na samobójstwo. Z upływem czasu coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że bycie

i życie jako Michał stać się może niezwykle trudne. Czas nie stał obok mnie w miejscu, ale pędził tak, jakby biegł na podkręconej do maksimum, elektrycznej bieżni. Zmieniałem szkoły, otoczenie, sąsiedzi się wyprowadzali lub umierali. Nawet mój dziadek Ignacy położył się pewnego dnia do łóżka w swoim domu, a trzy dni później – nadal leżał, tyle, że w świeżo wykopanym grobie na cmentarzu. Do dziś nie wierzę, że przeżyłem jego śmierć, choć ten jeden raz tak bardzo chciałem odejść wraz z nim. Zabrał ze sobą cały mój świat dzieciństwa, cały nasz wspólny świat, a zostawił tylko puste, niezapisane przyszłością kartki losu. Być może pociągnął za sobą w zimne trzewia Matki Ziemi także swojego wnuczka, Michała? Może to od jego śmierci zaczęło się moje kolejne stadium przepoczwarzania?

Z pewnością w mojej metamorfozie pomogło dojrzewanie. Mogłem sobie wmawiać, że jestem Michałem bardzo długo i skutecznie, ale gdy tylko zauważyłem te dwa jednoznaczne w kształcie wybrzuszenia na klatce piersiowej, nikt nie mógł mieć wątpliwości. Niestety, nawet ja, dotychczas Michał.

Nie, jednak nie byłem mężczyzną uwięzionym w ciele kobiety. Byłem kobietą uwięzioną w ciele kobiety. Szamotałem się w nim i miotałem, ale nikt nie potrafił mi pomóc. Sam musiałem dokończyć wewnętrzny i zewnętrzny proces dojrzewania, przemyśleć w swoim psychicznym kokonie kilka spraw, przetrawić wiele niechcianych uczuć. Czasami wszystko bolało mnie tak bardzo, że chciałem posiekać swoje ciało żyletką na krwawe plasterki, ale udawało mi się powstrzymać ten odruch. Krwawiłem za to wewnętrznie, niewidocznie dla otoczenia – bo emocjonalnie. Nie potrafiłem się odnaleźć w otaczającej mnie rzeczywistości, która raz po raz wydawała mi się nierzeczywistością. Błądziłem po wertepach swoich zmysłów i trafiałem na decyzyjne rozdroża. Gubiłem ścieżki do siebie, ale znajdowałem ścieżki do innych. Czułem, że metamorfoza nie do końca mi się udaje, coś mnie blokowało, pętało psychicznie.

W takim zaplątaniu, wewnętrznym emocjonalnym sfilcowaniu, rozpocząłem studia prawnicze. Zawód odpowiedni zarówno dla mężczyzn,

jak i dla kobiet. Mamiłem się, że wciąż jeszcze nie muszę wybierać. Nadal nie chciałem być jednoznacznie po prostu kobietą. Świat żeński wydawał mi się mdły i nijaki, anemiczny jak trup, z którego wytoczono resztki krwi, zanim ta zakrzepła. Jak miałem się w nim odnaleźć ze swoją potrzebą akcji i kroplówki z adrenaliną?

Publiczna konfesata. Lusus naturae? Zmiana perspektywy.

Dzień, w którym wyszedłem na światło dzienne jako nowy człowiek, to 11. grudnia. Wówczas to po wielu torturach na linii psyche oraz soma zrozumiałam, że jestem i zawsze byłam kobietą. Nieodwracalnie. To poznanie siebie już nie powodowało smutku, może wręcz nawet lekką ekscytację. W końcu nigdy dotąd nie pozwalałam sobie na bycie po prostu osobą płci żeńskiej. Tym razem musiało się udać. Nawet po raz pierwszy w życiu założyłam stanik. Brr! Okropność, w tym przecież nie da się oddychać ani skoncentrować. Wszystko mnie podrażniało i gryzło, koronki i te, jak im tam – chyba nazywają je fiszbinami? I dla kogo te wszystkie męki i poświęcenia, no – dla kogo? Dla faceta! W dodatku zakochanego we mnie.

Czasami, gdy na niego spoglądam, zastanawiam się, co by się stało, gdybym zdecydowała się jednak na bycie Michałem. Wydaje mi się, że i tak bylibyśmy sobie pisani. On bowiem miał się urodzić jako dziewczynka. Jego mama wybrała nawet imię: Paulinka. Zatem pewnie i tak bylibyśmy parą, tylko o innych imionach: Michał i Paulina.

Kobiece wypukłości już mi nie przeszkadzają, coraz bardziej akceptuję swoje zaokrąglenia genetycznej klepsydry. Tylko czasami, gdy mój facet nie widzi, przyglądam się jego majtkom o charakterystycznym kroju. Tylko przez sekundę myślę, że w górnej szufladzie komody mam kilka par skarpetek, którymi mogłabym je na sobie uformować, a potem szybko przymierzyć. Nikt by się przecież nie dowiedział. Ale ostatecznie nawet nie próbuję zrobić kroku w stronę Michała…

[1] z łac. – wybryk, dziw natury

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Krzysztof Szkurłatowski

godło „Aurora borealis”

II nagroda w dziedzinie prozy

Krzysztof Szkurłatowski

Rocznik 1969, z urodzenia lubuszanin, lecz z trzydziestoletniego zasiedzenia pomorzanin. Kształcił się na kolejarza, archiwistę i historyka, a pracuje jako fotograf, redaktor, nauczyciel i ćwiartka operatora DTP. Prowadzi autorską pracownię fotograficzną „Pozytyw”. Portretuje wszystkich i wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Robi to zarówno obiektywami, jak i słowem. Laureat kilkudziesięciu konkursów literackich, poetyckich i fotograficznych. Debiutował w 1989 r. tomikiem poetyckim „Pięć lat”, wydanym w 50 egzemplarzach przez szkolnych polonistów na powielaczu.

Kto zadba o dziadka Gagarina?

W naszej wsi wołali na mnie „Gagarin". Szybko rozeszła się historia o tym, jak odpowiedziałem na pytanie naszej przedszkolanki, Pani Wandy, kim chciałbym zostać, kiedy dorosnę. Większość moich kolegów chciała zostać milicjantami, paru żołnierzami (przeważnie czołgistami), a jeden nawet kowbojem! Ja zaś bez wahania powiedziałem, że chcę zostać radzieckim kosmonautą. No i poszło! Za kolegami nikt później nie wołał przez lata „eee Borewicz", czy „Olgierd", a już na pewno nie mówiono o kimkolwiek per „Pat Garret". A do mnie przylgnął „Gagarin", choć to nie on był moim ulubionym kosmonautą. Dla mnie bohaterem był Herman Titow! Sporo o nim wiedziałem, bo w wieku przedszkolnym już dobrze czytałem i naczytałem się o lotach kosmicznych w starych gazetach odkładanych latami na naszym strychu. Wiedziałem na przykład, że lot Gagarina dookoła Ziemi trwał tylko niecałe dwie godziny, i że Jurij nie mógł kierować swoim pojazdem – był więc jedynie dość biernym pasażerem. Owszem, notował coś sobie w kajecie i spoglądając przez okrągłą szybkę na Ziemię, z zachwytem powtarzał „Jaka ona piękna, jaka ona piękna…". I ani razu nie obleciał w pełni ziemskiej orbity!

Co innego Titow! Ten, nie dość, że przebywał na orbicie całą dobę, okrążył naszą planetę siedemnaście razy, to jeszcze sam chwycił za stery orbitera, by zmieniać jego kierunek lotu. A prędkość startowa?! Istne szaleństwo – ponad 40 tysięcy kilometrów na godzinę! Zawsze byłem oszołomiony myśląc o tym. I pomyśleć, że wszystko to działo się niemal wczoraj, ledwie siedem lat przed moimi narodzinami.

Latem często cichcem wymykałem się z domu na łąkę tuż za ogrodem. Leżąc w wysokiej trawie chłonąłem aromaty ziół i napawałem się widokiem atramentowego nieba gęsto obsypanego gwiazdami. A kiedy już się napatrzyłem do syta, zamykałem oczy i marzyłem, że jestem Titowem. Odziany w niewygodny kosmiczny kombinezon, szedłem zamaszystym

krokiem przez kazachski step, wprost ku stalowej wieży startowej zbudowanej w sercu kosmodromu Bajkonur. Stała przy niej rakieta. Z uśmiechem patrzyłem, jak gotowy do startu pojazd swoim ostrym dziobem butnie rzuca wyzwanie rozgwieżdżonemu niebu. Wostok-2 – ostatni cud radzieckiej techniki. Winda wywoziła mnie kilka pięter w górę. Nim zatrzasnąłem za sobą masywny właz, raz jeszcze zerknąłem w dal ku stepowi rozpalonemu sierpniowym upałem i wciągnąłem do płuc ziemskie powietrze. Przypięty pasami niecierpliwie czekałem na start. Omal nie usnąłem podczas odliczania ciągnącego się w nieskończoność. Aż wreszcie start. Ćwiczyłem ten manewr setki razy, a jednak tym razem byłem zaskoczony, że skończył się tak szybko. Po trzynastu minutach pionowego lotu Wostok odrzucił wszystkie trzy człony napędowe, które zużyły już paliwo. I nagle cisza. Bezszelestnie krążyłem wokół naszej planety i bez żadnych wątpliwości wiedziałem, że Jurij miał rację – jest piękna. Absolutnie! Obserwując ten widok nie chciałem nawet myśleć o tym, że w końcu i tak wyląduję na jakimś burym, zakurzonym, nadwołżańskim kartoflisku pod Saratowem. Kiedy wreszcie otworzyłem oczy, znów byłem otoczony nocną łąką i zapachem koniczyn, mniszków, pokrzyw, mięt, schnących traw. Gęsta mgła nadciągała znad rzeki.

Nie, nie przeszkadzało mi, że wołano za mną „Gagarin", zawsze to lepiej niż „Okularnik" albo „Gruby". Zabolało dopiero, kiedy w wieku piętnastu lat poznałem prawdę o tym, że przedszkolne rozmowy o zawodach nie miały nic wspólnego z historią mojego przezwiska. A było tak. Najpierw usłyszałem jakiś przeciągły ryk, potem poczułem gwałtowne wstrząsy, potworne przyspieszenie i… lot. Miałem wrażenie, przez kilka chwil powietrze owiewało mi twarz. W końcu – przerażający huk, uderzenie i ciemność…

Nie leciałem tak długo jak Herman, ani nawet tyle co Jurij. Dystans też pokonałem znacznie mniejszy – ledwie ze środka pokoju w stronę masywnej szafy stojącej w kącie. Pewnie ze dwa metry. Odbiłem się od drzwi i, zamiast na kartoflisku, wylądowałem nieruchomo na podłodze.

Troszeczkę na dywanie, troszeczkę na deskach. Leżałem na nim cicho. Nie płakałem, nie kwiliłem, nie wydawałem jęków. Straciłem przytomność. Ktoś obcy się dowiedział o sprawie, opowieść poszła w świat i zostałem wioskowym Gagarinem. A wolałbym Titowem…

Opis dość detaliczny, prawda? Ale przecież nie mogłem zapamiętać tego wszystkiego! Wy pamiętacie coś z okresu, gdy mieliście dwa lata?! O zajściu opowiedziała mi po latach babcia. Nie widziała lotu, nie widziała upadku, słyszała tylko krzyk i głuchy łomot dobiegający z głębi domu. Przestraszona przybiegła z kuchni, a kiedy wpadła do pokoju, ja już leżałem. Ojciec stał w przeciwległym rogu pokoju. Był przygarbiony, miał opuszczone ramiona, zwieszoną głowę, śmierdział wódką i ciężko dyszał. Nie odezwał się ani słowem. Wybiegł i nie wracał do domu przez kilka dni. Można powiedzieć, że całe to wspomnienie tak naprawdę wcale nie jest moje. Nie moje, a pamiętam je bardzo dokładnie, każdym porem skóry i każdym mięśniem.

Być może ocaliły mnie elastyczne, sprężynujące drzwi szafy i miękki dywan na podłodze. Kilka siniaków na ramionach, stłuczenie biodra i spory guz na głowie – takie ślady znaczyły moje ciało przez pewien czas. I jeszcze to – przestałem mówić, choć ponoć wcześniej nieźle już paplałem. Zamilkłem na dwa lata. Z pewnością stałem się mniej uciążliwy dla otoczenia. Już nie zasypywałem domowników gradem niezrozumiałych fonetycznie pytań. Nie było już potrzeby by martwić się o to, że nie wymawiam poprawnie „er", czy „eś". Przestałem wymawiać w ogóle. Chyba nikogo z sąsiadów to szczególnie nie obeszło. A mało to dzieci późno zaczyna mówić? Zwłaszcza chłopaki, ci zwykle są mniej gadatliwi. Jak to się u nas na wsi mówiło – przyjdzie jego pora, to zacznie mówić. I tyle.

Dla mnie jednak od tego dnia zmieniło się wszystko. Dokładniej, to wieczorem, kiedy z pracy wrócił mój dziadek. Jak zawsze przywitał się z babcią. Niezbyt wylewnie, ale z widoczną na pierwszy rzut oka czułością. Potem wymył się w emaliowanej misce, przebrał w czystą, choć z lekka połataną koszulę i usiadł przy kuchennym stole. Babcia zaś,

stawiając przed nim talerz z gęstą parującą kartoflanką, zaczęła cicho mówić. A kiedy skończyła, po jej twarzy popłynęło kilka łez. Dziadek podniósł się i poszedł do sypialni oglądać śpiącego bohatera babcinej opowieści. Podobno trząsł się wtedy cały z emocji. Usiadł na łóżku, wsunął w moją czuprynę swoje palce i długo ją mierzwił. Od tego dnia nie mieszkałem już z rodzicami, zostałem z dziadkami. Nigdy ani ojciec, ani matka słowem się nie zająknęli, bym wrócił do tej części naszego wielkiego poniemieckiego domu, którą zajmowali. Wszystko odbyło się w ciszy, bez słów. Ja w każdym razie nic nie mówiłem...

Mieszkałem z dziadkami, ale ojca wciąż się bałem. Zwłaszcza gdy pijany krążył pod oknami, mamrocząc swoje ulubione przekleństwa. Robił to tylko wtedy, gdy dziadek musiał być w pracy. Nagle stawał się odważny, krzyczał coraz głośniej. Coś o bękarcie, o zabijaniu. A czasem łomotał do drzwi. Na szczęście były zawsze zamknięte. W takie dni, by stłumić strach i dochodzące z zewnątrz hałasy, chowałem się w wielkiej orzechowej szafie. Tam, wśród ubrań pachnących mieszanką aromatów – dobrego tytoniu fajkowego, lawendy, skóry, babcinych perfum, uspokajałem się. Kiedy już umiałem czytać, do swojego szafowego schronu zabierałem latarkę i książkę. Lektura sprawiała, że świat zewnętrzny przestawał dla mnie istnieć. Na wiele godzin. A potem wracał dziadek, ja zaś nie opuszczałem go już na krok.

Uwielbiałem niedziele, bo wtedy dziadek zostawał w domu. Jeszcze w nocy, leżąc na plecach w ciemnościach, z rękami podłożonymi pod głowę, uśmiechałem się do siebie – napawałem się tymi chwilami spokoju. Przed świtem nasłuchiwałem ze swojego łóżka, czy nie skrzypnie podłoga w sypialni. Ten dźwięk oznaczał, że dziadek już wstał i znów mogę za nim chodzić. Zaraz potem zwykle słyszałem plusk wody rozbryzgującej się o ścianki blaszanej miski, świst ostrza brzytwy ślizgającego się po skórzanym pasku i skrobanie metalu o szorstki męski zarost. Potem cisza i znów dźwięk – nóż odkrawający kromkę chrupiącego chleba, który babcia piekła dzień wcześniej. Wtedy już nie wytrzymywałem – zrywałem

się z łóżka i biegłem w stronę odgłosów. Dziadek odwracał się w moją stronę, a twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech. Przysiadałem przy nim na kamiennym progu naszego domu, bo właśnie na nim dziadek zjadał pierwszy niedzielny posiłek – grubą pajdę chleba posmarowaną żółtym masłem. Ja też dostawałem swój kawałek tego chrupiącego, aromatycznego smakołyku. Jedliśmy niespiesznie, popijając mlekiem z brązowych glinianych kubków. Milcząc patrzyliśmy na podwórko, gdzie kilka kur grzebało w ziemi wśród kępek traw. Cierpliwie czegoś szukały. Tylko kogut nie zniżał się do takich czynności. Nazywaliśmy go Napoleonem. Przechadzał się powoli z dumnie nastroszonym grzebieniem. Nosił wysoko uniesioną głowę, przez co sprawiał wrażenie, że cały czas o czymś rozmyśla, że snuje jakieś wielkie plany. Zdaje się, że ich nie zrealizował. Pożarł go latem wiecznie wygłodniały pies sąsiadów – nomen omen – Iwan.

W niedzielę dziadek zawsze odwiedzał pszczoły. Doglądał je, pielęgnował, rozmawiał z nimi, a mnie tłumaczył zawiłości życia tych pracowitych owadów. Wiedział o nich wszystko i kochał je. Kiedyśmy już odwiedzili wszystkie ule, siadaliśmy w cieniu jabłoni, a za jakiś czas dołączała do nas babcia. Przynosiła do pasieki dzbanek chłodnej cytrynowej lemoniady. Siedzieliśmy we trójkę. Ściskałem dłoń dziadka, a głowę układałem na kolanach babci. Usypiało mnie monotonne, ciche brzęczenie pracujących dookoła owadów. Od czasu do czasu unosiłem powieki, tylko po to, by móc raz jeszcze spojrzeć w niebieskie, bezgranicznie mądre oczy dziadka.

Podczas kolejnych wizyt w pasiece, w następnych tygodniach, tłumaczył mi jak pszczoły zapylają jabłonie, pokazywał kwiaty zamieniające się w zawiązki, a te w soczyste jabłka. Nie było pyszniejszych w okolicy niż nasze malinówki! Znajdował czas, by leżeć ze mną w trawie i patrzeć, jak zaskoczony jeż ze strachu staje się kolczastą kulką, a po paru minutach rozwija się i gniewnie na nas pofukując idzie w swoją stronę. Pokazał mi mnóstwo ptaków i nauczył rozpoznawać je po głosach. Zaprowadził do miejsca, w którym wiewiórka, regularnie odwiedzająca nasz sad, chowała orzechy laskowe. Nie krzywił się nawet wtedy, gdy zacząłem znosić

do domu wężowe wylinki zbierane w lesie. Poprosił tylko, bym bardzo uważał i przypadkiem nie nadepnął żywej żmii. Sporo ich wygrzewało się latem na leśnych ścieżkach i polanach.

A kiedy w końcu znów zacząłem mówić, stał się wiernym słuchaczem moich opowieści. Nigdy nie przerywał, póki nie skończyłem. Zawsze wiedział, kiedy zawieszam głos albo robię pauzę w opowieści po to, by dać mu szanse na zadanie pytania. Znał wszystkie pytania, które należało wtedy zadać. Czasem miałem wrażenie, że umie czytać w myślach, a pytania zadaje tylko po to, by nie sprawiać mi przykrości, bo przecież odpowiedzi na nie i tak znał.

Miałem sześć lat, gdy do naszego domu przyszedł Pan Dyrektor. Znali się z dziadkiem dobrze. Chciał, bym zaczął naukę rok wcześniej niż należało. Czytać już dawno umiałem, liczyć też, byłem stałym bywalcem naszej wiejskiej biblioteki, ale to wcale nie znaczyło, żebym się palił do szkolnych nauk. Przestępując nerwowo z nogi na nogę podsłuchiwałem rozmowę dorosłych, dobiegającą z sąsiedniego pokoju. Słyszałem jak Pan Dyrektor swoim tubalnym głosem trzmiela przytaczał argumenty za wcześniejszym pójściem do szkoły. Niepokoiłem się, bo dziadek długo milczał. A kiedy się w końcu odezwał, aż pisnąłem z radości. – Ma całe życie na naukę, zdąży ze wszystkim, a teraz niech sobie jeszcze ten rok polata i użyje wolności.

Byłem tak wdzięczny za ocalenie przed byciem najmłodszym w klasie, że nie czekając na koniec rozmowy wpadłem do pokoju i rzuciłem się dziadkowi na szyję. Obaj dorośli roześmiali się w głos. Żaden z nich nie wyglądał na zagniewanego z powodu mojego podsłuchiwania. A Pan Dyrektor najwyraźniej nie miał żalu o to, że odmówiono jego prośbie. Mój dziadek miał magiczną moc zjednywania sobie ludzi. Nie poznałem nikogo innego, kto cieszyłby się tak powszechnym szacunkiem.

W sierpniu siedemdziesiątego ósmego miałem już prawie dziewięć lat. Panowały upały i ziemia wyschła na wiór. W tumanach kurzu kopaliśmy piłkę. To znaczy kopali koledzy, bo ja byłem bramkarzem. I to raczej

kiepskim. Głównie podpierałem jeden za słupków i prosiłem los o to, by nasi utrzymywali się przy piłce tak długo, żebym do końca meczu w ogóle nie musiał interweniować. Nie lubiłem tego całego turlania się w piachu, rzucania ku słupkom i dostawania piłką w różne części ciała. Kiedy tak stałem w palącym słońcu i kłębach kurzu, słałem jednocześnie prośby do losu, by ten mecz się wreszcie skończył. By z okien wychyliły się matki moich kolegów i wezwały ich na kolację albo do jakichś obowiązków. I wtedy nagle na boisko wtargnęła moja matka. Nie zauważyłem, że nadchodzi. Najpierw ją usłyszałem. Przybiegła z krzykiem, jak zawsze. Z potoku słów wpływających kaskadami z jej ust wyławiałem tylko niektóre. Ale jedno z nich, to, które zrozumiałem, sprawiło, że pozwoliłem się bez oporu szarpać i popychać w stronę domu. Ciągnęła mnie za rękę i co jakiś czas krzyczała „dziadek", „dziadek" , „dziadek" – z różnymi intonacjami. A każdy z jej wykrzykników mroził moje myśli. W końcu, gdzieś tak w połowie drogi, wyrwałem się matce i sam popędziłem co tchu brukowaną ulicą.

Zdyszany wpadłem do domu. W kuchni pełnej ludzi ktoś, nie pamiętam kto, chwycił mnie za ramię i usłyszałem – idź, czeka na ciebie. Wszedłem do sypialni dziadka. Był sam, a na szafce nocnej przy łóżku paliła się gruba świeca. Wgramoliłem się do niego, położyłem obok i przytuliłem. Ściskałem mocno jego rękę. Teraz wydaje mi się, że czułem wtedy jak słabnie puls. Wciąż głaskał mnie po głowie i szeptał – mój Groszku, mój Groszku. Coraz ciszej.

Całe moje dziewięcioletnie serce krzyczało, że teraz to ja muszę zadbać o niego, tak jak on przez te wszystkie lata troszczył się o mnie. W nocy niepostrzeżenie wymknąłem się przez okno z domu. Trochę błąkałem się w ciemnościach, ale w końcu znalazłem na cmentarzu jamę wykopaną dla dziadka. Przecież ktoś powinien sprawdzić, że wszystko będzie dobrze, że nie spotka go w tym miejscu coś złego. Zsunąłem się w głąb i położyłem na plecach. Leżąc w głębokim dole patrzyłem, jak gwiazdy spadają z sierpniowego nieba. Nie wiem, kiedy zamknąłem oczy i ogarnął mnie mrok. Rano obudził mnie własny krzyk i zimne krople płynące z oczu. Byłem sam.

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Katarzyna Mróz

godło „HENRIETTA”

III nagroda w dziedzinie prozy

Katarzyna Mróz

Polonistka, słuchaczka trzeciego roku Filologicznego Studium Doktoranckiego na Uniwersytecie Gdańskim.

Na wyspie

Dorota Saubick rozczesała włosy szczotką i przyjrzała się sobie uważnie. Nie dostrzegła w ustawionym na toaletce lustrze niczego niepokojącego; połyskliwy tryptyk jak co dzień ukazywał jej szczupłą twarz z cienkimi ustami i wąskim nosem, twarz okoloną istnym wodospadem olbrzymich, długich do połowy uda włosów w mysim kolorze, z których Dorota była bardzo dumna.

Przybliżyła swoje bursztynowe oczy do srebrzystej tafli i skrzywiła się z niesmakiem. Wyrwała gdzieś z boku siwy włos – jeden, jedyny – i owinęła go wokół palca. Przytrzymany z drugiej strony, napiął się jak struna – naciągnięty do granic możliwości, pękł w końcu, zwijając się i marszcząc w miejscu rozerwania, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

Irka i Krysia spały jeszcze, podczas gdy sznurowane, lekko podbite buciki ich matki postukiwały szybko na wypastowanej dzień wcześniej dębowej podłodze.

Na żelaznej kracie stało nieodniesione na miejsce żelazko – Dorota zostawiła je wczoraj do ostygnięcia i zapomniała o nim. Wyjmujac zeń zimne, matowe i martwe węgielki spoglądała na swoje szczupłe dłonie, których cienkie i długie palce nosiły ślady nacięć i pokłuć igłą, a ich skóra była szorstka i twarda, całkiem jak nie u kobiety. Dawno już Dorota nie pamiętała, czy miała kiedyś inne dłonie. Miękka suknia w gołębim kolorze dziwnie jakoś nie pasowała do nich, zdawała się zbyt delikatna.

Dorota zajrzała do stojących w wazonie gałązek bukszpanu, które zamierzała później - razem z jakimiś białymi kwiatkami, które znajdzie po drodze, może konwaliami, a może stokrotkami, nie wiedziała jeszcze – przypiąć na piersi i wpiąć we włosy. Nie będzie miała welonu; zakładała go już raz i więcej przyniósł jej nieszczęścia niż pożytku.

Nie dlatego, żeby jej małżeństwo z Tadeuszem (jej Tadzinek, Tadeusz! On i jego łódka!) uważała za nieszczęśliwe – broń Boże! – ale dlatego po prostu, że było takie krótkie.

Dzisiaj Dorota wychodzi ponownie za mąż i wszystko – jasny poranek, pluskanie wody w miednicy, nawet syczenie gotującej się wody i stukot rynek na placie – przypomina jej tamten dzień: głupi i niepotrzebny w jej życiorysie, bo gdyby go nie było, siedziałaby tu teraz z Tadeuszem.

Trzeba było być bardziej stanowczą, strofuje sama siebie, grzebiąc żwawo w palenisku – trzeba go było nie puszczać, a nie byłoby dzisiejszego dnia, dzisiejszej sukni i siwego włosa wyrwanego o świcie. Boże drogi, przecież nie jest już młoda, trudno być młodą, mając trzydzieści dwa lata i czwórkę dzieci – dwóch synów zmarło, ledwie wyszedłszy z pieluch – ale przecież byli i miała ich dla siebie – ale doprawdy, z siwizną można by jeszcze poczekać. Nie jest jeszcze poważną matroną, jak jej teściowa – przeszła, obecna i przyszła, ciągle ona! – nie jest więc i być nie zamierza przez następne dziesięć lat. Teraz czeka ją nowe życie, jak to nazywają, z nowym mężem. Tylko co to za nowość, jak ją sobie wyobrazić, skoro ten mąż to były szwagier?

Cóż, jeszcze nie do końca były.

Janek, bo tak ma na imię, starszy jest od Tadeusza o kilka lat, bodaj ze cztery – ale jak dotąd ani się nie ożenił, ani nie widziano go nigdy z żadną dziewczyną. Nieśmiały był do kobiet; gdy któraś na niego spojrzała i powiedziała coś do niego, zaraz się czerwienił, spuszczał oczy, zaczynał się jąkać i nie wiedział, co robić z ciałem, którego poszczególne części drętwiały i poruszały się niezbornie, jakby każda z nich należała do kogo innego.

Janek nie miał dotąd szczęścia, bo i go nie szukał. Siedział wciąż na wyspie, nosa nie wyściubiał, to i gdzie miał kogo poznać. Ciągle tylko strugał te swoje patyki – jak pogardliwie mówiła stara Saubickowa na rzeźbione ławy i krzesła, które sam od początku do końca składał – a gospodarki doglądać nie było komu.

Z tej to przyczyny działka na wyspie dostała się Tadeuszowi. Janek wcale się temu nie sprzeciwiał, cieszył się tylko, że za należną mu spłatę mógł sobie zorganizować na lądzie warsztacik – i struga dalej swe patyki, zdobywając renomę wśród miejscowych.

Dzisiaj zaś, już za kilka godzin, włoży Dorocie na palec obrączkę – tę samą, którą dotychczas nosi ona po Tadeuszu – i wypowie słowa przysięgi.

Dorota wciąż jest pełna wątpliwości, bo przecież brać ślub ze szwagrem to tak, jakby pobierać się z własnym bratem – rodzinę się wyklucza z planów matrymonialnych. Ale teściowa tak długo przekonywała ją, że sobie sama nie poradzi (bzdura, od roku radzi sobie doskonale); tak długo narzekała, że nie chce jej obciążać opieką nad sobą (jeździła na wózku), tak bardzo wreszcie opisywała pozostałego jej syna jako człowieka spokojnego („Do rany przyłóż!"), zaradnego a bogatego (jakich to zalet nie miał Janek!), że Dorota, z początku niechętnie, zgodziła się na jego odwiedziny.

Były to rzecz jasna odwiedziny inne niż wszystkie – bo Jan, jako ojciec chrzestny Irki, przypływał na wyspę często – ale teraz przecież przybywał w innej sprawie.

Dorota pamięta, jak pieląc buraczki, schylona, z ubrudzonymi rękoma drgnęła nagle, słysząc za plecami głos. Nie był zupełnie ten sam, co Tadeusza, jednakże pamięć ludzka jest zawodna, wspomnienia się zniekształcają – i od biedy mogłaby pomyśleć, że jej mąż-topielec zmartwychwstał. Dorota nie należała jednak do tych, co dadzą się nabrać – wstała, otrzepała się z piachu, wygładziła fartuch – i dopiero wtedy obróciła się, by, nic nie mówiąc, przywitać spojrzeniem Janka.

Stał przed nią w nowym garniturze z miasta, jego błękitne oczy mrużyły się od słońca, a cienkie wargi wciąż zagryzał od środka, by je oblizywać. W jednej ręce trzymał prosty kapelusik, w drugiej nieporadnie miętosił jakieś kwiaty dopiero co zerwane – Dorota pamięta swój zawód, kiedy na nie spojrzała: niezapominajek mogła narwać sobie sama.

- Nie trzeba – odparła cicho, kiedy chciał ponieść jej kosz z burakami. Pomknęła ścieżką do domu, a on dreptał powoli za nią – i dałaby słowo – wąchał te kwiatki, które dla niej zerwał.

A potem siedział z nią przy stole (ława skrzypiała sucho, kiedy przebierał nogami nerwowo), siedział i czekał, aż czajnik zacznie gwizdać, a Dorota skończy przebierać buraki. Robiła to ostentacyjnie, niby tak jak zawsze wykonywała czynności gospodarskie, gdy przyjeżdżał Janek: on nigdy nie przyjeżdżał w gości, mimo że mieszkał na lądzie, był domownikiem – wciąż czuł się jak u siebie w domu, a uczucie to wciąż podsycała w nim stara Saubickowa. „Podaj mi, proszę, Janku, drzazgę-naparstek--świecę-obrazek święty- tam gdzie zawsze - wiesz, gdzie co jest" – mówiła często, a on orientował się w przestrzeni swobodnie, tak jakby zawsze pomagał matce, która nigdy nie miała ani jednej córki.

Nic dziwnego zatem, iż Dorota nic z jego obecności sobie nie robiła i chyba tylko względy przyzwoitości sprawiały, że nie czesała się przy nim.

Czesać się! Wielka mi rzecz! Dzisiaj rano też rozpuściła przecież włosy, potargane po nocy nieprzespanej; robiła to wczoraj, zrobi to też jutro i pojutrze – tyle że jutro za odbiciem jej twarzy, tak jak w andrzejki, pojawi się jakaś męska twarz – twarz nieobca, wróżba spełniona. Przepowiednia, która nie zdążyła zostać wysłuchana, by ziściły się jej słowa – przeznaczenie w całej okazałości. I oglądać będzie tę twarz tak długo, jak będą razem – to jest do wtedy, gdy nastąpi śmierć któregoś z nich. Lepiej chyba jej, bo po raz drugi zostać wdową chyba by nie chciała; chyba, bo jeszcze nie wiadomo, czy go pokocha.

Życie we wdowieństwie nie byłoby dla Doroty złe, bo umiała sobie radzić bez mężczyzny – szkopuł jednak w tym, że nie umiała sobie radzić bez Tadeusza. Pokochała go, zanim jeszcze się pobrali – on ją też i stara Saubickowa nie miała tu nic do gadania: ona, która wszystkich swoich pięciu synów otaczała natrętną, kwoczą opieką; ona, której nikt, zanim nie straciła władzy w nogach, nie śmiał się sprzeciwić – gdy zaniemogła,

zaraz się pokazało, jaka to była władza i miłość.

Wszyscy odetchnęli, kiedy nabrali pewności, że stara nie wpadnie nale komuś do domu i to jednej, to drugiej, to trzeciej synowej nie zacznie udzielać rad, których te wcale sobie nie życzyły: na kolkę dobra jest herbatka z kopru, dłonie nacieraj sokiem z cytryny, miodu nie żałuj, mydełka nieco do szafy włóż, żeby moty nie latały.

Jej rady nie były złe i nietrudno uwierzyć, że płynęły ze szczerego serca – jednak młode panie Saubickowe nie lubiły być pouczane; same należały do kobiet zdecydowanych i silnych; i komenderowały gospodarstwami, jak również mężami po swojemu. Wszystkie trzy kiwały głowami ze zrozumieniem, słysząc skargi Doroty na unieruchomioną i zrzędliwą świekrę – wszystkie trzy, starsze wiekiem i stażem małżeńskim kiwały, ale nic więcej nie robiły. A mogłyby zabrać starą do siebie, choćby na tydzień każda!

Dorka, przecież my mamy dzieci, więcej niż ty – sama wiesz, ile przy takim drobiazgu roboty – odpowiadały.

Wasze starsze – zauważała trzeźwo Dorota, mniej ich trzeba pilnować. W dodatku nie żyją na wyspie jak moje.

Ale twoje to przecież dziewczynki – oburzały się. Z nimi nie ma tylu ceregieli. Grzeczniejsze przecież.

Rozmowy takie miały miejsce w ciągu jednego lata, potem drugiego – i Dorota zrozumiała w końcu, że została z tym wszystkim sama. Nie skarżyła się nikomu, ale do szwagrów nie lubiła jeździć.

Dorota wielka pani, specjalnie zajeżdżać do niej trzeba i przypominać, jak rodzina wygląda – bo sama się nie pofatyguje. Przyjazd szwagrów z rodzinami oznaczał tylko jednoosobową harówkę. Jedynie wizyty Janka nie wymagały wielkiego zachodu – zresztą, czy on był czy nie, było Dorocie wszystko jedno: jego obecność w tym domu tak była zawsze zwyczajna, jak nie przymierzając, much na suficie. Było ciepło – przylatywały;

nadchodziła jesień – marły albo spały gdzieś po kątach, ale nikt nie robił z ich powodu ceregieli.

Czy zawsze tak będzie? Dorota jakoś inaczej się czuje, myśląc o Janku jako stałym mieszkańcu domu na wyspie. Mimo że jest najmłodszy, został – już za kilka godzin zostanie - spadkobiercą rodzinnego domu i ziemi, która z dziada pradziada leżała na wyspie w rękach Saubicków. Starsi synowie – Roman, Krzysztof i Jerzy – dziękowali ślicznie, kiedy stara (już od dawna wdowa) chciała im zapisywać po kolei gospodarkę.

Lepiej niech mateczka nam da te grunty pod lasem-za rzeką-przy drodze (dokupowane sukcesywnie przez starego Saubicka) albo nas spłaci – mateczka ma pieniądze. Ale za wyspę ślicznie dziękujemy!

Ulegała matka synom: Romanowi, Krzysztofowi i Jerzemu – aż najmłodszy syn, Tadeusz, uległ jej.

Janek do żeniaczki nieskory, komu się to dostanie? – biadała, posłuchaj chociaż ty starej matki.

Narzeczoną mam śliczną, marzył sobie Tadeusz, będzie jak rusałka, boginka leśna w płaskiej łódce między trzcinami wyglądać. Wiatr będzie czesać jej włosy, słońce łyskać między nimi – i żył z nią tu będę, boginią moją, syreną – i nikt nam w tym nie przeszkodzi.

Plan Tadeusza był piękny, jednak zbyt wielkim był on romantykiem – Dorota, owszem, była pod wrażeniem wyspy, ale mieszkać cały boży rok na niej nie chciała.

Sprzedamy, duszo, i wyjedziemy – z początku Dorota w to wierzyła. Sprzedamy i osiedlimy się na lądzie, gdzieś bliżej miasta – tak bardzo tego wszystkiego pragnęła: ludzi, ruchu, gwaru, chodników zamiast wody i wozów zamiast łodzi.

Tadeusz obiecywał gorliwie w pierwszym roku małżeństwa, składał przysięgi również w drugim – pech jednak zrządził, że teściowa

zaniemogła: z początku leżała w łóżku jak ten kołek i Dorota musiała wszystko przy niej robić, jak ostatnia posługaczka całą ją myć i wycierać – jakimś jednak cudem (a niektórzy skłonni byli wierzyć, że iście szatańskim sposobem) stara dźwignęła się i mogła już siedzieć w drewnianym fotelu na kółkach, który sporządził dla matki Janek. I to dobre, że z niewielką pomocą dawała radę przysiąść na krześle, pod które podstawione było wiadro – inna rzecz, że to wiadro trzeba było po niej wynosić, choć Bogiem a prawdą też tylko w zimie czy w gorszych pogodach albo w nocy – Saubickowa zresztą też się krępowała i niezręcznie jej było prosić o zawiezienie do wychodka, ale cóż robić. Zawsze to lepiej niż prosić o wiadro.

Ozdrowiała jako tako – dzieci były wdzięczne, że Bóg matki do siebie nie powołał - ale przecież nie na tyle, by zostawić ją na wyspie samą i urządzać sobie życie gdzie indziej.

Czy to ona nie ma innych dzieci, zastanawiała się cicho Dorota; może i ma, ale komu dom rodzinny przepisała? Ów argument dla Tadeusza był nie do zbicia i z rzadka już Dorota mówiła o swej bezsilności przy nim.

A przecież nie musiała przepisywać, tłumaczyła sobie raz po raz – ojcowiznę najstarszy dziedziczy. Ojcowizna to chluba i chwała, wielki obowiązek i czuwanie, by dobra rodzinnego nie zaprzepaścić i nie zmarnować. Jest przecież trzymać nad czym pieczę: trzoda, orne grunty, las – to co się składa na wyspę – i jeziora część wcale nie tak mała, otaczająca brzegi ostrowu hen, daleko. A w jeziorze są ryby, które się odławia i wozi na targ. Sieci trzeba wiązać, do suszenia wieszać. Kiedyś jeszcze, jak stary Saubick żył, chodził z lądu na wyspę prom – często go chłopaki obsługiwali – ale rodzinie sprzykrzyło się to wreszcie; część wyspy, na którą mieszczuchy jeździli wczasów zażywać, odkupili – i odtąd prom nie był już nikomu potrzebny.

Łódką przypływali z lądu tylko pomocnicy – na nich przecież spoczywała troska o to, by wszystko było zaorane

i nawiezione-zabronowane-obsiane-zebrane w swoim czasie i żeby świnki, owce i koza chowały się należycie. A warzywami zajmowała się Dorota.

Jeden z pomocników, kulawy Antek, co to kumał się też z rybakami (łowisko Saubickowie dawno już wydzierżawili; stara biadała, że oddać w ajencję to już jakby sprzedać – ale Dorota wstawała wtedy, brała sieć w ręce i mówiła: tak tedy niech mateczka wstaną, pójdziemy łowić: czoln stoi tam, gdzie zawsze – i świekra zasępiała się wtedy, okopując się w złowrogim milczeniu; wówczas jeszcze, gdy zdrowa była i Tadeuszek żył – ale on wolał polem i oborą się zajmować niż rybami), kumał się z nimi więc, to znaczy z nimi łowił i co lepsze sztuki podrzucał Saubickom na stół, pewnego dnia przyleciał, drobiąc krótszą nogą jak wściekły tak, że jego ułomności w tym locie prawie widać nie było, i już od progu, nie wycierając butów i nie zdejmując czapki, śliniąc się, parskając i prawie że tchu złapać nie mogąc, zdał sprawę, jak następuje: że Tadka zna-zna-leźźź..., że pod wooo-do dłu-dłu-u-go leżał, że nnna-puchły już.

Gdzie, jak, po co, dlaczego on? Przecież umiał dobrze pływać!

Nie bardzo umiał – dziwnie chłodno zaprzeczyła teściowej Dorota; pływanie i ryby to nigdy nie była jego miłość.

By się z tobą nie obżenił, by tego nie dostał, twoja wina!

Głupi był – zawyrokowała świeża wdowa i poszła oglądać trupa.

Stara szalała, rozpaczała, rzuciła się z krzykiem na łóżko, uderzając w nie pięściami; spalała się w łkaniu gorzkim, łkaniu duszącym i odbierającym widzenie; Dorota tymczasem spoglądała na wzdęty, sino-zielony balon z wywalonym czarnym językiem i wyłupiastymi, matowymi oczyma – i szukała w tej napuchłej, umajonej przygniłym ajerem i wodorostami kukle tego, co jeszcze przedwczoraj było jej mężem.

Przyjechał ktoś z zakładu medycyny sądowej, w oddali któryś z chłopów zbijał już skrzynię. Jęki i szlochy starej nie ustawały. Dorota siedziała na brzegu długo w noc – dziećmi zajęła się chyba któraś ze starszych

Saubiczek – i marzła pod zimnym światłem księżyca, który był w pełni. Wisiał milcząc, napęczniały, jakby go też przed chwilą wyciągnięto z wody albo jakby nosił w sobie nowe życie – bo z każdej pęczliny w końcu coś wyrasta – i przypatrywał się z nieruchomą twarzą: taką, jaką przybiera ktoś, kto wszystko rozumie.

Mogło się zdarzyć, że posiadacz takiej fizys nie pojmuje zgoła nic – ale komu wystarczy jedno oko na oglądanie zła tego świata, ten nie może być tępy.

Krzyki i łkania wreszcie ucichły, trumnę zbito już dawno – słychać było tylko chlupot wody przy brzegu i jej śliskie pieszczoty, jakimi obdarzała przycumowane łódki.

Daleko, gdzieś w lasach, nawoływały się ostatnie czuwające ptaki; koło uszu Doroty bzyczały komary, kąsały ją boleśnie – ale choć niezmiernie ją drażniły, to nie miała siły ich odganiać. Dziwna rzecz: dawniej nazwałaby taki wieczór cichym i spokojnym; wtedy jednak słyszała każdy dźwięk, każdy furkot skrzydeł, każdy szmer trawki.

Z drugiej strony rozgałęzionego pomostu przysiadła jakaś postać. Dorota wzdrygnęła się: ta sama smukłość pleców, ta sama sprężystość karku.

Chyba jeszcze nie oszalałam – pomyślała, ale zawołała cicho.

Odwrócił się w jej stronę, błysnął ognik papierosa. Ach, to przecież Janek! Jacy oni podobni.

Co on tu robi? Skąd się wziął? To on zbijał skrzynię?

Ja – przyznał krótko. Trudno bratu trumnę robić.

Brat, nie brat, otuliła się szczelniej chustą Dorota, wyglądał jak nie on.

To woda robi – objaśnił rzeczowo. Umrzyk się nadyma i wypływa.

Była mu wtedy wdzięczna za jego trzeźwość i za to, że nie robił niepotrzebnych ceregieli – nie potrzebowała, żeby się ktoś nad nią litował.

W domu było już całkiem cicho; świerszcze cykały bezustannie. Po co ten alarm, skoro wszystko się już stało?

Może dlatego, że im zimno – zarzucił jej na plecy swój sweter z wełny, stara Saubickowa go jeszcze robiła – gruby, sztywny; mikroskopijne włoski piekły skórę jak szkło albo trociny, których zapachem był przesiąknięty. Nie tyle zresztą sweter, co jego właściciel: otaczała go zawsze woń drewna, świeżego i suchego, całego i ciętego; metalu pił i pilników, pociągała za sobą oleistość pokostu i żywicy – a do tego mieszał się jeszcze uparty zapaszek papierosów, nieodstępujący go nawet na krok, nawet w dzień świąteczny.

I właśnie tym pachniały jego dłonie, jak na mężczyznę malutkie i wciąż ze wszystkimi palcami – rzecz wśród okolicznych stolarzy niebywała, ale Janek prawie nie pił – z palcami średniej długości i grubości, z paznokciami ni to podłużnymi, ni to łopatkowymi – ot, przeciętne sobie, nijakie właściwie palce z drobnymi, jasnymi włoskami porastającymi je od pierwszego do drugiego stawu.

Dzisiaj te dłonie będą jej dotykać.

Dorota wzdrygnęła się trochę, jakby od zimna – i odstawiła żelazko, by wystygło.

Teraz ty suknię prasujesz, ile to jeszcze czasu do trzeciej, gderała stara, powoli poruszając koło fotela. Suknię prasujesz, a tu, patrz – małe się zbudziły i biegają. Ja stara kaleka, ich nie dogonię ani jeść im nie podam.

Żaliła się tak stara, dłonie splotła na okrągłym, przez tyle dzieci rozdętym brzuchu i głowę schyliła, kątem oka spoglądając, co synowa robi.

Nowe firany powiesiłaś, dziwi się, i koronki przy półkach?

W przyszłym tygodniu chciałaś pranie robić, nie żal ci mydła i krochmalu? A opału ile do gotowania trzeba, mój ty Boże...

Dziw, że stara jeszcze wody nie żałuje. Dorota słucha tych słów, dopinając kaftanik Irce; całkiem jakby od niechcenia rzuca:

Zażółkły już, zresztą na dzisiaj wypada, żeby było inaczej niż zawsze.

Co ty opowiadasz – udaje nieświadomą stara. Dziś dzień taki jak co dzień, jutro jest dzień taki jak co dzień i Bóg wie, jak długo nic się nie zmieni. Mnie, starej, nikt już nie postawi na nogi – tak już będzie; jak wam oczy zamknę i zbijecie mi skrzynkę – wtedy może coś tu się zmieni.

I jedzie, zgorzkniała, dysząc i sapiąc, z powrotem do swojego pokoju. Nie zważa na ciepłą kawę zbożową i bułki, które Dorota wczoraj upiekła. Irka i Krysia zajadają wesoło, Dorota podnosi z podłogi kwiatek, który nie wiedzieć kiedy wysunął się jej zza ucha. Leży przywiędły, łodyżkę ma zmiażdżoną od okutego żelazną obręczą koła.

Zrobiłbym z gumami – przepraszał matkę Janek, ale gdzie tu teraz takie dostać.

Ty jeden pamiętasz, synku. Ty jeden dbasz o starą matkę – tak daleko od niej mieszkasz.

Dzisiaj będzie mieszkał już tutaj. Od czwartej po południu, za osiem godzin. Będzie chodził po tej samej ziemi, oddychał tym samym powietrzem co ona. W wychodek spadać będą ich wspólne nieczystości. To samo będą jedli i o tym samym rozmawiali. Wspólne będą ich dni i noce.

I znowu, gdy sobie Dorota o tym pomyśli, wzdryga się – nie wiedzieć dlaczego. Może to stąd, że szwagier to jakby brat? A jak można z bratem pod pierzynę iść? Ile razy siedział przy tym stole, pomagał jej w ogrodzie, bieliznę nawet z nią wieszał jak brat, jak... siostra! – i teraz on ma względem niej mężowskie prawa mieć?

Trzeba się uspokoić, mówi sobie Dorota. Z Tadeuszem też na początku było jakby dziwnie. Dziwnie, ale inaczej: nęciło ją nieznane i napawało strachem; dzień przed ślubem nasłuchała się od matki o nieznośnym bólu, jaki ją czeka: trudno, musisz przeboleć, mówiła. Gorzej będzie rodzić, mówiła. Taki już los kobiety.

Drzwi zamknęły się za nią, przerażoną, ale straszenia matki były nadaremne. Tadeusz prędko się z nią załatwił, tak że ledwie zdążyła zauważyć kiedy – i rano na prześcieradle dostrzegła plamkę tak małą, że niejeden period zostawiał większe. Pozostaje się jej cieszyć, że drugi raz tego nie przeżyje (porody – nie wiadomo!); ale będzie przecież zaczynać od nowa, przedstawiać się komuś i poznawać go.

Ale przecież ona już go zna! Zna go jak brata, jakby w dzieciństwie bawili się razem w piaskownicy: wspólne lepienie babek i fortec, łapanie dżdżownic i skopywanie krecich kopców.

Piękny domek z piasku podarował jej Tadeusz: dom jak ślady na wodzie. Przed zaśnięciem często pytała go, jak będzie wyglądał ten wymarzony dom. Będzie na lądzie, opowiadał, ogarniając ją ramieniem. Tak daleko, że nie będzie tam żadnej wody: ani stawu, ani strumyczka czy rzeki. Grunt będzie tłusty pod nogami, ziemia tłusta i żyzna – nie podmokła jak bagienko – chodzić się będzie po niej pewnie, i kto wie, może nawet do nieba będzie bliżej?

Jakiego nieba, pytała wtedy. Bo przecież możemy mieć gospodarstwo na wzgórzu – takim zielonym. Łąki na jego połaci, konie się będą tam pasły: bułane, kare, gniade, tarantowe. Szyje będą miały smukłe, a pęciny delikatne. W biegu będą chyże i niezmordowane, że po drodze będą podkowy gubiły. A podkowy będą ze szczerego złota.

Złote podkowy, cóż ty za głupstwa pleciesz. I takie delikatne – nic nie powiozą, cmoktała z niedowierzaniem ona. Bo one nie od tego będą, uśmiechał się. One będą hodowane dla bogatych ludzi: do przejażdżek ich będą używali. Taki zamknięty na tej wyspie jesteś, biadała ona, i nie widzisz, ile to automobili bogaci ludzie mają. Niedługo się konie staną niemodne i nikt nie będzie chciał ich hodować.

Ale ja to wszystko wiem, kochana moja – Tadeusz zaśmiał się trochę za głośno – tylko tak tobie opowiadam: bo pomyśl, co by to za łąka z marzeń była, gdyby tam stały ciężkie, ochwacone wałachy?

Tylko nie ochwacone, pisnęła, bo jakaś ręka dotknęła jej pod koszulą.

Dobrze, niech będzie łąka, zgodziła się. Zielona, trawa na niej miękka... Chrupiąca, przerwał pieszczotę Tadeusz, chrupiąca, by trzaskała między końskimi zębami. I soczysta, dodał, pocierając palcem o palec i czując śliskość między nimi.

A dom, prawie krzyknęła Dorota: jaki będzie?

Duży i biały. Okna w nim będą ogromne, w nich delikatne niczym koronka firanki – zmieniać je będziesz co tydzień. Piece tylko z białych kafli dobrze wypalonych, lśniących jak ściany łaziebne. Ach, to i łazienkę będziemy mieli? Skąd ciepła woda? Się zrobi. Piec będzie, dymek z niego będzie wylatywał jasny, przez komin prosty, wysoki i twardy – ach! – i będzie strzelał wysoko w obłoki, i palenisko wciąż będzie gorące, i woda wciąż ciepła, tak że nic nie będziesz robić: tylko we wannie będziesz leżeć, jak wielkie panie z miasta.

Żebym nie musiała bachrów na placie stawiać, wzdychała Dorota, jak teraz żebym nie musiała. Dokąd ty? Pytał zdziwiony. Umyć się muszę, co ty ze mną zrobiłeś. Nic wielkiego, duszo – płowe, wiechciom podobne wąsy Tadka rozciągnęły się nad uśmiechem. Nic, duszo, nic. To, co mi z żoną robić wolno.

A chałupę sprzedamy? Szeptała zza zimnego plusku Dorota. Sprzedamy, duszo, sprzedamy. I wtedy udawała, że mu wierzy.

Z biegiem czasu nauczyła się tego, ponieważ widziała, że sprawia mu to przyjemność – zaciskała szczęki pod uśmiechniętą maską, mrużyła oczy pod wyciętymi na nie otworami, które więcej przysparzały cienia, niż odkrywały. To udawanie było dla niej znacznie lepsze niż ciągłe upominanie o spełnienie obietnicy – dopominać się to przyjąć, że naznaczony termin dawno już minął i działa się już po nim. A ona wolała, by to wszystko nieustannie trwało.

I było tak do śmierci Tadzinka: nie dała mu przecież słowem odczuć,

że na niego liczy. To prawda; tego dnia, gdy wypływał, pożegnali się ponuro – to był jeden z tych dni, które przygniatają swym ciężarem: Irka chora, stara zrzędliwa i niewiedząca, czego się uczepić, ogień niedający rozpalić się w kominie, wilgoć w powietrzu, wilgoć w mieszkaniu, wilgoć w oczach i w niej (daremna, przez niego niezauważona, do której pojawienia się zdolność wzbudził niepotrzebnie). Rozkasłane, zgorączkowane dziecko, zgrzytliwy wózek starej, czarne z zimna fajerki – wiatr, woda wzburzona i ziemiste chmury – a tu na gwałt potrzeba lekarza – z medykamentami pod ręką. I podpałki.

Przeklęta wyspa, tutaj każda potrzeba nicowana jest po trzykroć: bo może jest jedynie kaprysem, a może da się brakującą rzecz zastąpić czym innym, a może ona tak specjalnie wszystko niszczy albo gubi – i Tadeuszka wciąż, syna jedynego na miejscu, mężczyznę jedynego, na ląd wysyła? Co ona z tego ma? Czy nie za często kulawy Antek jabłek nie przywozi? Skoro przywozi to, dlaczego innych rzeczy by nie mógł?

Obcych nie prosi się o takie rzeczy – owoce przywozi sam, bez proszenia – i sama je matka zjada, aż sok po brodzie leci.

Ach tak, to może już ona, stara kobieta, co siódemkę dzieci porodziła, piątkę knapów wychowała, do grobu niech się położy, co by tylko młodemu państwu nie przeszkadzać?

Nie kłóćcie się, lampę się weźmie, pieniądze – i skoczy po doktora. Córcia chora, rozpalona – źle by było, gdyby zmarła jak jej bracia. Przykryj ją czym jeszcze, duszo.

Nie umrze, nie umrze – żywa jeszcze całkiem. Ty synów byś lepiej żałował, nosicieli nazwiska twojego – z córek co ty będziesz miał? Majątek na posag wydasz, nic więcej. A jeszcze obcy przyjdzie i nosem będzie kręcił, że mu się nie podoba.

Milcz, ty... One dla mnie tak samo ważne jak tamci, a zresztą moje – nie twoje!

Ech, duszo – nie wytłumaczysz. Przykryj ją jeszcze i zaparz, co tam masz, a ja popłynę.

Prędzej ja – nie, boś ty słabsza i dłużej będziesz wiosłowała; nie: ty zostań.

Całe życie mnie chcesz więzić na tej wyspie! Jak w piwnicy! Jak na wieży!

Widzisz ją, zamiast dziecka doglądać, nad sobą tylko lamentuje.

Szybki pocałunek, szorstkie zamiecenie konopnych wąsów na policzku.

Stara bardzo była niezadowolona – i cierpiętniczą miała minę – kiedy musiała siedzieć nad Irką całą noc, bo doktor jakoś nie przypłynął i Tadeusz też.

U mnie go nie było – jąkał się Janek zawstydzony i rozespany, prędko, trzęsącymi się rękami naciągając spodnie na powycierane kalesony. Ledwie się odział, jak stał, poleciał do stajni, zaprzągł konia do wozu i śmignął po lekarza.

Łódka ciasna była dla ich trojga; medyk, zły i naburmuszony, wzdychał znacząco za każdym razem, kiedy przychodziło mu wiosłować. Westchnienia te odurzały Dorotę smrodem nieprzetrawionej do końca gorzałki; wiotczejąc ze zmęczenia, nie potrafiła zatrzymać głowy lecącej na ramię Jana; było tam – ruchliwe, pewne i twarde.

I potem dom; świece dopalały się, już prawie dniało: nie, Tadeusz nie przypłynął.

Bo on nie wie, gdzie mnie szukać – burknął lekarz; beknął, niedbale rzucił niedomkniętą torbę na stół – wysypały się z niej karty i lekarskie utensylia – a potem schylił się nad małą. Posłuchał jak oddycha, zajrzał jej do gardła i, zezując nieco, naśliniwszy uprzednio krótki, kopiowy ołówek, nie bez drżenia rąk i tłumionej czkawki, sporządził w końcu receptę na

jakimś wygniecionym świstku, któremu nie potrzeba było nawet podpisu, tak był przesiąknięty zapachem jodyny i leków.

Janek nie mówiąc wiele wstał od stołu i wyszedł; doktor podążył za nim, drobiąc krótkimi nóżkami nad wystającym brzuszkiem. Zaklął pod nosem, gdy wsiadał do łódki; wreszcie usadowił się w niej jakoś i ruszyli. Dorota widziała, jak powoli pogrążają się w mlecznym tumanie: krępe plecy lekarza i wystająca ponad jego sylwetką zamyślona twarz Janka. Z tej odległości podobny był do Tadeusza – te same ruchy, jasne pukle włosów, tylko wąsy mieli inne: Janek starannie wygolone, króciutkie i niewielkie, miastowe. Ale z daleka ten szczegół nie był istotny.

Dzisiaj może i nabiera wagi, bo przecież wargi spod tych cieniutkich wąsików będą ją całować – już nie będzie jej tak, jakby się ocierała o snopek słomy.

Nieśmiałe pukanie do drzwi, prawie jak mysie skrobanie – tak może pukać tylko on.

I zaraz skrzypienie wózka, jękot kół i sapanie starej – z wytężeniem wyszczerza zęby i strzela balonikami śliny, ale ani na chwilę nie przystaje.

Dorota chciałaby ją ubiec, ale wózek przeciął jej drogę i stara już-już, zaraz przywita się ze swoim synem, on jednak, tak wyjątkowo pewny siebie (że aż niepodobny – czyżby wychylił setkę dla kurażu?), uśmiecha się szeroko i mówi tak:

Kapelę na wesele zamówiłem.

Żadnego wesela nie będzie – oponuje cierpko Dorota, spoglądając na niego z ukosa – Wesele to jest dla młodych, a nie dla takich jak my.

Podobno miało nie być – udaje zdziwioną stara – Ale to przecie dla was; ja już przecież nie zatańczę, w kącie będę siedziała, nie, to nie dla mnie te zabawy – ale wam to jeszcze przystoi. Nic, że na weselu ostatniego syna w tany z nim nie pójdę, w policzki nie ucałuję na stojąco, chleba

i soli nie potrzymam – ale po co ci!, mówię, nic, że ja nie potańcuję: ale ty możesz.

Łupanie w skroniach pojawiło się nagle, w toku przemowy Saubickowej – i narasta z każdą chwilą. Powietrza, myśli Dorota, powietrza! I już stukają jej buciki po chybotliwym pomoście; do sukni przylgnęło przez drogę kilka dmuchawców, ale to nic.

Oddychać, oddychać głęboko. Spoglądać na zieloną tasiemkę lądu widoczną w oddali; z wiatrem przychodzi tu bicie dzwonów. Jeszcze kilka godzin, a zadzwonią jeszcze raz: jak podkowy na szczęście albo drobne monety rzucone na przedkościelny bruk.

Szczęść Boże Młodej Parze, wszyscy będą mówić, ale kto tu im naprawdę poszczęści, Bóg czy diabeł? I nie wiadomo czy im, czy sobie bardziej.

Pierś Doroty chodzi jak miech, ale ramiona zwisają bezwładnie; z daleka jej smukła, wysoka sylwetka wygląda jak szmaciana straszka na ptaki, z którą wiatr igra po swojemu.

Nic tu, nic nie idzie po jej woli – już od pierwszego dnia. Ale czy to dziś jej pierwszy dzień? A jeśli nie, to który był tym początkowym? I co to w ogóle znaczy: pierwszy dzień? Dla niej czy dla niego? Co się od tego dnia powinno liczyć?

Uciec stąd, za wszelką cenę uciec. Nie pokazać się w kościele. Albo choćby powiedzieć: nie. Ale po tym wszystkim trzeba będzie wrócić tutaj i zabrać dzieci. Jak, dokąd, czym? Jest łódka. Pusta, sucha, uwiązana u brzegu, kołysze się na wietrze niczym łupina orzecha.

Narzędzia, nie wiadomo skąd wyciągnięte – ach, to przecież jego czołn – zaczyna się tu wprowadzać, niedoczekanie! – ostre dłuto, jakiś śrubokręt – i walić, próbować drapać te wióry, poluzować gwoździe, porobić jakieś dziury, wyciągnąć deski – cokolwiek, byle nie musieć stąd dzisiaj wypływać.

Tam, na brzegu, w malutkim drewnianym kościółku, który przy pogodzie dobrze widać, będą siedzieć wszyscy – trzech Saubicków i ich żony; trzy żony i ich dzieci, i jeszcze bracia i siostry Doroty; i jej rodzice. Ksiądz będzie wychodził co chwila zniecierpliwiony z zakrystii albo z konfesjonału; wreszcie odprawi organistę i ministrantów. Pieniędzy zabranych nie odda, ale zrobi minę, jakby co najmniej cały dzień poświęcał się za darmo. Tak, zanim ktokolwiek z tamtych dopłynie, by zobaczyć, co się stało, on z pewnością tak zrobi.

A potem – kto wie; Mania ma brata, który się zawsze Dorocie bardzo podobał; w mieście mieszka, nauczyciel. Miasto! Przestrzeń, ludzie, zgiełk – życie po prostu. O, i jeszcze obcęgi on tu ma – wystarczy chwycić gwóźdź i...

Tymi cążkami takiego nagla nie pociągniesz – mówi z rezygnacją Janek – wygną się.

Obejrzała się za siebie zdyszana. Suknia, potargana i mokra, ubłocona i oblepiona szuwarami przypominała zgnitą piwonię i ważyła więcej niż zwykle. Pociągnął Dorotę na pomost – chwycił w pasie pewnie i mocno, delikatnie i powoli jak jajko postawił na deskach. Spoglądał na nią bacznie i wyczekująco – bo też trudno byłoby się domyślić, co jej zachowanie miało znaczyć.

Jak wszystkie łódki poniszczysz, to już nigdy stąd nie wypłyniesz – mówi tylko cicho – Ja nie jestem szkutnikiem.

Dorota patrzy na niego, badając jego rysy i oczy – nie dostrzega w nich ani śladu pretensji, tylko jakby pełne nadziei przygnębienie. Więc robi się jej go żal – ale bardziej przecież siebie samej – i patrzy tak na niego, zupełnie jak ta sroka w gnat, i zęby to jej tak szczękają, o, stuk-stuk-stuk-stuk, usta drżą i wykrzywiają się jak u małego dziecka. Wybucha w końcu łkaniem, Boże mój, tak długo już nie płakała, a to przecież wstyd tak przy kimś – ale trudno, już tego nie powstrzyma; on wyciąga ręce i tak obejmuje ją na tym pomoście, i ona chwyta się tych okruchów

czułości zupełnie tak, jakby się w sierocińcu wychowywała, i nagle nie miała nikogo, nikogusieńko.

On do tego wypowiada takie słowa, których ona wcale nie rozumie i dobrze ich nie słyszy – ale z brzmienia jego głosu wnioskuje, że są to słowa przyjazne i pełne jakby litości wobec niej – i przez to sama zaczyna żałować samej siebie, jaka to jest opuszczona i biedna – co przecież nie uprawnia jej do niczego, bo mało to wdów na tym świecie? Stara Saubickowa chociażby. Pięciu synów wychowała, taka dzielna, a ona się tu nad samą sobą roztkliwia. Dziewczynki sobie w życiu poradzą, ona też sobie radzi – jak się jest sprytną i zaradną, do wszystkiego dojdzie się w życiu. Byle nie pójść za ofermę, wyciera po raz ostatni nos i powstrzymuje się, by ochryple i lepko nie powiedzieć tego na głos.

Wtedy on, Janek, widząc, że ona już nie płacze, uśmiecha się szeroko, jakby go kto na złotego konia wsadził – i doprawdy, nie wiadomo: z czego tak się śmieje? Jak ten głupi do sera się cieszy!

Chodź – mówi, kładąc jej dłoń na ramieniu - Tam wszystko jest przygotowane: sala weselna, jedzenie – nawet muzykantów zradziłem.

Chce jej się śmiać i obrzucić go wyzwiskami: jak to, więc ważne jest, żeby pieniądze się nie zmarnowały?

A tak, uśmiecha się filuternie – doprawdy, o taką lisiość i tupet by go nie podejrzewała. A tak, mówi on ze spokojem – Wesele, moja duszko, może być i bez ślubu. Chodźże, nie daj się prosić, żałoba już dawno ci się skończyła, a tak z domu nie wychodzisz, do ludzi nie zaglądasz. Proszę, chodź.

Na wyspie żadnych ludzi oprócz mnie nie ma, odpowiada mu ponuro; ale podaje mu rękę i daje się wyprowadzić z pomostu, nie krzywiąc się nawet na to, że ją swoją duszką nazwał; patrzy niepewnie w jego jasne oczy, w oczy Tadka i Krysi – a potem już zrzuca z siebie zgniłą piwonię, wkłada suknię byle jaką, wygodną i przewiewną. I sama nie wie, jak daje

się wieźć na drugi brzeg; nie wie, co myślą goście, bo wódka leje się jak ze źródła, a talerze są pełne i pełne – żaden gość się nie interesuje, bo o to jedynie chodzi, żeby się najeść i napić za darmo; więc buciki jej stukają po wywoskowanym parkiecie, tuż w pobliżu jego lakierków – doprawdy, całkiem przyzwoicie Janek tańczy!

I tak toczy się to wesele-niewesele, bez oczepin i rzutu bukietem; kapela nie wiadomo skąd sprowadzona, paru obwiesiów, co to wyglądają jak przybłędy grające po knajpach i czasem pod kościołem: draby łyse albo potargane, w koszulach bez mankietów i kołnierzyków i w samych kamizelkach – i wszystko to wątpliwej czystości – ale przyznać trzeba, matko jedyna, jak też oni grają!

Harmoszka tego małego, pryszczatego, nadaje rytm – jednostajny, skrzekliwy, jakby się jaki wóz powoli przetaczał; dalej klarnet coś tam jęczy melodyjnie i zlewa się ze skrzypcami tak, że nie da się ich czasem rozróżnić; i jeszcze kontrabas – on burczy monotonnie, a barczysty rudzielec jakby nad nim przysypia.

Sukienka Doroty wiruje, bo Jaś ją okręca wciąż w kółko jak frygę, a potem kręcą się razem, niezbyt szybko, ale bez przerwy – to coś jak jazda automobilem, zastanawia się Dorota, nigdy jeszcze takim nie jechałam; kupimy, kupimy automobil, Janek jest nieco pijany, tyle że to nic, bo ona też, Dorota, nie czuje się zupełnie trzeźwa.

Muzyka toczy się i toczy, muzykusy repetują wciąż ten sam motyw nieznośnie, aż w końcu ten pryszczaty czarodziej z harmoszką zasysa całe powietrze z sali, nawet zasysa z ich płuc, potem wciska z powrotem, dmie miechem jak w topielca, Dorocie kręci się w głowie – czy ja jestem w wodzie, pyta siebie – czy ja jestem w wodzie?

Kapelę i gości przysłania zielonkawa powłoka; grający wóz odjeżdża w końcu, a Dorota stoi na środku sali sama, całkiem sama i rozgląda się trwożliwie. Na podłodze stłuczone szkło – trochę kieliszków się potłukło, jak zwykle przy takich okazjach. Ostrożnie, małym palcem nabiera

trochę kremu z któregoś tortu i delikatnie oblizuje. Dobry, myśli; sama bym nie zrobiła lepszego.

Pusto już, późno – trzeba wychodzić. Dokąd, jak, gdzie ja jestem? Co ja tu robię, zastanawia się, a w głowie trochę jej się kręci. Nie, nie jestem księżniczką, śmieje się głośno – nie mam pięknej sukni, a na zewnątrz nie czeka piękny, wielki automobil, błyszczący i z dachem z brezentu czy skóry. Z czego właściwie, to przecież nieważne, chichocze i jednym haustem dopija pozostawiony przez kogoś kieliszek wina. Szampańskie, myśli zadowolona. Długo nie piłam.

Trzeba wyjść na powietrze – to ją otrzeźwi – myśli powoli, bo wie, że jeszcze szumi jej w głowie – i ostrożnie stawia stopy na błyszczących deskach. Chłodne powietrze i wiatr od strony jeziora nieco ją orzeźwiły. Lekka i beztroska idzie ku siedzącemu na pomoście Tadeuszowi, który, zmęczony tańcowaniem, nogi moczy w świtającej wodzie i pali papierosa.

Ona się śmieje i zakrywa mu oczy, i obsypuje pocałunkami policzki. On się wzdrygnął i papierosa wyrzucił do wody, ale pozwala jej się stemplować lekko jak piórkiem, i słucha jej szczebiotu, niezbornego i lotnego jak bąbelki szampana: ach Tadziu, jakie piękne weseleśmy mieli, no odwróć się, długo się tak nie bawiłam, dziękuję ci, daj buzieńki. Cmok, ale przecież ten Tadek nigdy nie palił papierosów, jego język smakuje obco i cierpko, a jego wargi są jakieś sztywne, jakby nigdy, przenigdy tego wcześniej nie robił. Otwórz wreszcie oczy, prosi on, otwórz te swoje oczy, ale po co ma to robić, skoro jej tak dobrze, i nie otwiera ich nawet wtedy, gdy ląduje na stole, między półmiskami: resztki sałatek i tortów mażą jej uda – a może to co innego?

Otwórz oczy, słyszy urwany jęk, otwórz te swoje oczy – ale ona nie słucha, bo w uszach jej szumi, jakby pogrążała się coraz głębiej w wodę.

Osówko, 1. lutego 2017

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Anna Maria Wybraniec

godło „EFEKT FORERA”

III nagroda w dziedzinie prozy

Anna Maria Wybraniec

Autorka opowiadań ze Śląska. Zdobyła III miejsce w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Pisanie dobre na chandrę”, jej tekst ukazał się też w międzynarodowej antologii opowiadań dotyczących zmian klimatycznych Life Plus 2 Meters (tom 2.). Studentka Indywidualnych Studiów Międzyobszarowych na Uniwersytecie Śląskim. Mieszka w Katowicach. Pracuje na kolejne sukcesy.**jej fotografia**

Metalowy pies

Marzenna nie wierzyła w Boga. Wyrosła z dziecinnej wiary, która bladym świtem wyciąga z łóżka na roraty. Wyobrażała sobie wtedy siebie jako kroplę światła w strumieniu ciągnącym do kościoła, na dnie nocy, jak na dnie oceanu, i tylko Bóg, Posejdon, patrzył na tej najdrobniejszy narybek. Inni, którzy mogli chcieć go oglądać i ważyć spojrzeniem, wciąż jeszcze spali. Zbierała święte obrazki, przywożąc męczenników z każdej wycieczki, w albumie na zdjęcia miała przenośny atlas tortur i mapę męki. Objadała się pączkami w tłusty czwartek, sypała popiół w środę popielcową, widząc Chrystusa ramię w ramię z Kopciuszkiem, jadła śledzie we wtorek i przez czterdzieści dni pościła, cierpiąc męki obiadu bez deseru. Zabierała płatki kwiatom i pszczołom na Boże Ciało i sypała je pod nogi księdza. Zastanawiała się czasem, dlaczego on po nich depcze. W kwiatach widać przecież tylko radość stworzenia, bo rośliny nie mają głosu, którym mogłyby się skarżyć, żadnych oczu, otwierających się pod powiekami, prowadzących w głąb. Kiedy rosła, wspólnota tego profanum, warstwy masy perłowej kryjące bolesne ziarno wiary, nie zdołała jej wciągnąć naprawdę głęboko, poza obrzędowość i nie uchroniła sacrum, które upadło pod naporem dorastania, kiedy wstawanie bladym świtem już nie było tak atrakcyjne.

Marzenna spróbowała więc buddyzmu, gdzie największą niedogodnością były twarde poduszki do medytacji. Miło wspomina ten okres, bo choć nigdy tak naprawdę nie zdołała uwierzyć w reinkarnację, brzydziły ją te używane dusze, takie jakby z drugiej ręki, nawet jeżeli ta wcześniejsza ręka też w jakiś sposób była jej. Nastolactwo przebiegała w glanach, z plecakiem z demobilu obszytym naszywkami oznajmiającymi, że trzeba uwolnić Tybet, nie jeść mięsa i każdy inny, wszyscy równi, no może poza rasistami.

Kiedy skończyła liceum i musiała coś postanowić, choćby przyznać, że nie wie, co postanowić, na chwilę zwróciła się w stronę islamu, ale nie było w jej mieście nikogo, kto by jej powiedział, co ma w związku

z tym robić, a na dodatek akurat trafiła na ramadan, tak więc tyle co miała z oczyszczenia, to dwa kilo mniej i piękną cerę.

Prawosławie, protestantyzm i judaizm wydawały się jej już opatrzone, już na wstępie jakoś zużyte, od pierwszego wejrzenia niechciane, zbyt blisko były tej jej pierwszej wiary, może je rozważy, kiedy będzie bliżej starości i umierania, człowiek naturalnie wtedy wraca do dzieciństwa i dziecinnej wiary, jeżeli nic innego go nie porwało za życia, kiedy mógł sam decydować. Wiernych powinno liczyć się nie po chrztach, lecz po ostatnich sakramentach, ale na co komu największa nawet nekropolia?

Poważnie, ale krótko, myślała o słowiańskiej wierze, tej pogańskiej, bo kiedy tylko chciała zagłębić się w jej księgi, okazało się, że ksiąg nie ma, o bogach nic pewnego nie wiadomo, mnóstwo zaś zachowało się opowieści o demonach, diabłach, południcach, topielcach i całym tym nadprzyrodzonym drobiazgu. Najwyraźniej przyziemna, pragmatyczna słowiańska dusza bardziej drżała o skiśnięcie mleka niż o swoje zbawienie.

W coś jednak musiała wierzyć.

Któregoś dnia, przez przypadek, Marzenna trafiła na horoskop w gazecie. Oczywiście, nie był to pierwszy raz: czytywała je jako dziecko, z przerażeniem wyglądała Szatana skrytego między literami, igrając co tydzień ze zbawieniem swojej duszy, i drżała, gdzie zaczyna się grzech – czy od samego czytania, czy dopiero jak coś się sprawdzi, a co jak nie przeczyta, a się sprawdzi i ona nawet o tym nie będzie wiedzieć? To już chyba lepiej przeczytać, by wiedzieć, czego unikać, czego nie robić i jak nie żyć, by było w zgodzie z Pismem, a nie horoskopem. Ksiądz na spowiedzi mówił, że nie czytać, że nie myśleć, bo to o wiarę w możliwość spełnienia się horoskopu chodzi, ale Marzenna nie potrafiła skupić się na abstrakcie możliwości; musiała wiedzieć, czytać i myśleć, jakby szukała językiem bolącego zęba, jakby horoskop wciskał się między paciorki różańca.

Potem o tym zupełnie zapomniała, może dlatego, że buddyzm nie zabraniał czytania wróżb, tu większy problem stanowiła cała reszta gazety. Szczególnie reklamy przyciągały jej uwagę; co tylko widziała, to od razu musiała mieć i nie miało znaczenia, czy oglądała sukienkę, auto czy

wiertarkę udarową. Wszystko było tak samo godne pożądania: filmy, książki, kuracje odchudzające, które stały strona w stronę z fantastycznymi przepisami na fantastyczne ciasta. Nie widziała w tym jednak sprzeczności, wręcz przeciwnie, to była wielka ciągłość pożądania, nieustający cykl ujmowania i dodawania, śmierci i życia w mikrokosmosie tkanki tłuszczowej. Nawet kłopoty miłosne i okłady na piekące stopy pociągały Marzennę, przywoływały ją z jej oderwania od świata materialnego. Dopiero później zrozumiała, że niczego nie mogła odrzucić, bo niczego nie miała i od samego początku unosiła się trochę w pustce; najpierw musiała przecież określić swoje pragnienia, by móc je przekreślić.

I dlatego dopiero tak późno zwróciła uwagę na proste wskazówki horoskopów.

Nie obiecywały zbawienia poza grobem. Dawały zbawienie już teraz, wobec codzienności, odpowiadały na pytanie, kim jest – jest Rybą.

Marzenna rozpoczęła swoje dążenie do horoskopiczności życia od poznania swojego horoskopu urodzinowego. Zanim wybrała siebie, swoje Ryby, przejrzała też inne i z każdym opisem coraz bardziej cieszyła się, że nie musi żyć jako tajemniczy i mściwy Skorpion, nieustępliwy Baran czy do bólu uporządkowana i systematyczna Panna.

Kiedy w końcu doszła do siebie, z ulgą przeczytała, że jako ostatni znak ma w sobie trochę ze wszystkich innych znaków i przez to może być rozchwiana i niezdecydowana. Zwykle wygląda jakby nie baczyła na trendy w modzie, ale za to jak już zechce wyglądać, to wygląda – kobiecо i elegancko, ale bez przesady, z młodzieżowym pazurem niezależnej duszy. I że zdolna, ale leniwa, masz potrzebę, by ludzie cię lubili i podziwiali, jednak jesteś osobą krytyczną wobec siebie. Masz pewne wady osobowości, ale potrafisz je kompensować tym, co jest w tobie dobre. Masz duże możliwości, które wciąż pozostają niewykorzystane. O ile na zewnątrz możesz wyglądać na osobę zdyscyplinowaną i opanowaną, wewnątrz często trapi cię niepewność i martwisz się o wiele spraw. Niekiedy masz poważne wątpliwości, czy twoja decyzja była dobra albo czy twoje czyny były właściwe. Lubisz pewną ilość zmian i różnorodności, a kiedy

osaczają cię ograniczenia, odczuwasz niezadowolenie. Cenisz sobie własną niezależność myślenia i nie przyjmujesz cudzych twierdzeń bez przekonujących dowodów. Życie nauczyło cię, aby nie przesadzać ze szczerością, kiedy się przed kimś otwierasz. Czasem bywasz osobą otwartą na ludzi, przystępną i towarzyską, ale innym razem zamkniętą, ostrożną i zdystansowaną. Niektóre z twoich marzeń wydają się być nierealistyczne.

Marzenna, widząc tę analizę poczuła się cała skondensowana i wydestylowana do jednego akapitu. I to jak trafnie! Odetchnęła z ulgą.

Przeczytała też o talentach muzycznych i skłonnościach artystycznych, i to jej pomogło podjąć wreszcie decyzję. Będzie śpiewać. W zespole. Grającym na weselach.

To był doskonały balans pomiędzy wystąpieniem publicznym i prywatnym, pomiędzy artyzmem a rzemiosłem, kiedy na początku trzeba było ładnie śpiewać, potem wystarczyło śpiewać, a jeszcze później, w zależności od nastroju, mogła znowu uderzać w artystyczne tony lub całkiem zamilknąć, bo weselnicy osiągali ten stan, kiedy muzykę czuło się ciałem, dochodziły wibracje, ale nie dźwięki i nie miał znaczenia jej głos, a siła basu.

Już w jednym z pierwszych, codziennych horoskopów, przeczytanym przed przesłuchaniem do zespołu, odnalazła swoją prawdę. Właśnie w pociągu lub autobusie samotne Ryby mają szansę zapoczątkować obiecującą znajomość. Ryby będą w dobrym humorze. Na służbowych spotkaniach zainteresujcie się nowym projektem, bo możecie sporo zyskać. Sprzyjający wam znak to Skorpion.

I tak to było. W autobusie, jadąc na przesłuchanie, zdeptała chłopaka w jej wieku i w dobrym humorze, parując pozytywną energią, zaczęła przepraszać. Nawet wymienili się numerami telefonów. Tylko potem, kiedy Marzenna wysiadała, on wysiadł też i szli dalej razem, jakby nie potrafili się rozstać. Znajomość była bardziej obiecująca i perspektywiczna, niż Marzenna przypuszczała, bo chłopak okazał się basistą w zespole, więc pierwsze i drugie lody zostały przełamane przed przesłuchaniem.

Wesela były marzycielskie, romantyczne, swoją Rybią wrażliwość

i chęć niesienia pomocy mogła wykorzystać, kiedy emocje brały górę nad weselnikami. Tak mogła żyć. Było to o wiele lepsze rozwiązanie niż wolna wola lub wyrzeczenie wszystkiego.

Nie zagłębiła się jednak sama zbytnio w astrologię. Nie chciała zedrzeć i tej pozłoty. Horoskopy dzieliła na świąteczne oraz codzienne. Codzienne publikowano w gazetach i to one wyznaczały przebieg dnia. To nie tak, że ślepo wierzyła, że się spełnią. Marzenna po prostu robiła wszystko, by się spełniły. Nie wiedziała, po co znalazła się na świecie ani dlaczego, wiedziała tylko, kiedy i tego postanowiła się trzymać. Stopniowo Marzenna zaczęła traktować wróżby jak wyzwanie: żyć tak, by spełniła się przepowiednia. Czasem było to bardzo trudne, ukonkretnianie tych niekonkretów, zastanawianie się, który ze spotkanych ludzi może pozytywnie wpłynąć na jej życie, bo to trzeba od razu dobrze zgadnąć, by potem się spełniało i jak już z samego rana się na kogoś zdecyduje, to głupio przecież zrezygnować, no i co, jak wieczorem zostanie bez nikogo?

Horoskopy świąteczne, stawiane przez astrologów, z uwzględnioną datą, miejscem i godziną, wykreślane indywidualnie, na specjalnie zamówienie, z domami, ascendentami, descendentami, już samym nazewnictwem przeszywały ją dreszczem. Czekała na swój pierwszy profesjonalny horoskop jak kiedyś na pierwszą komunię. Takie horoskopy wymagają jednak konkretnych pytań, których Marzenna nie miała – dlatego potrzebowała od razu gotowych odpowiedzi.

Każdy dzień zaczynała więc od gazety i świeżych bułek kupowanych w sklepie pod blokiem. Poza niedzielami, oczywiście, wtedy nie wychodziły nowe gazety, a tylko po bułki nie warto schodzić i w niedzielę na śniadanie jadła owsiankę. Zwykle brała „Gazetę Wyborczą", już wielokrotnie sprawdzoną, choć gdy była zdezorientowana rozwojem wydarzeń, to przeglądała też inne dzienniki, wybierała te, które najlepiej pasowały do jej rzeczywistości, a potem przy śniadaniu udawała tylko, że gorączkowego kartkowania w sklepie niżej nie było i pierwszy raz widzi tekst na oczy.

Prędko przerzucała wieści, które jej nie dotyczyły – wojny, zarazy, wielkie układy małych ludzi, małe potknięcia wielkich ludzi. W końcu

dokartkowywała się do tego, co dotyczyło jej osobiście. Strona z horoskopem dziennym. Przeżuwała słowa wraz z bułką. Ryby zapomną o starych pretensjach, a dobry humor nie opuści ich przez cały dzień. Rano jednak uważajcie, bo ktoś może spróbować zepchnąć na was swoje kłopoty. Trochę asertywności bardzo się przyda. Sprzyjający wam znak to Baran.

Jakie stare pretensje powinna dziś zapomnieć? Asertywność, to pewnie w związku z tym spychaniem problemów. Baran. Czy znała jakiegoś Barana? Znaki zodiaku znajomych zawsze pozostawały dla niej pewną zagadką – bo skąd miała wiedzieć, czy ktoś traktuje je tak jak ona, na serio? Bo jeżeli nie, to przecież nie miały znaczenia.

Marzenna uśmiechnęła się do gazety. No tak, przecież to oczywiste. Ta pani w sklepie na dole, zwykle rano rozespana i nie tyle niemiła, ile mechaniczna, bo tak wcześnie, przecież nie można automatu oskarżyć o nieuprzejmość, po prostu robi, co mu się zadało, dziś wyjątkowo emocjonalnie podchodziła do świata i nie były to ani dobre emocje, ani dobry świat. Marzenna asertywnie poprosiła jednak o razowe bułki, nie te jasne, które wylosowała sprzedawczyni. I nie dała się obciążyć jej problemami, asertywnie ignorując wszystkie ciężkie westchnięcia i potencjalne zaczyny konwersacji.

Od razu poprawił się jej humor. Nie wiedziała tylko, o jakich pretensjach miała zapomnieć. Czy może już zapomniała?

Marzenna zdecydowała się dać sobie czas na rozognienie pretensji i zapomnienie – miała na to cały dzień. Praca przy weselach odbywała się głównie w weekendy, jej wolne dni wypadały od wtorku do czwartku, weekmiddle raczej niż weekend.

Czy to o to miała mieć pretensje? Chyba nie, bo nawet nie było do kogo. Miała pretensje do matki i położnej za wyciągnięcie jej w ten świat. Miała pretensje do świata, że życie jej się potoczyło tak, choć mogło inaczej. Kiedyś miała też pretensje do wielkiej kariery artystycznej, ale o tym już dawno nie myślała, a nie miałoby sensu przypominanie sobie o czymś, by o tym zapomnieć. Może zapomnienie rzeczywiście miało być ostateczne, tak, że nie pamiętałaby nawet o akcie zapominania.

Marzenna czuła się teraz dobrze w swoim życiu – nawet jeżeli nie było idealne, to było już zagrzane, wysiedziane i wszystkie ostre krawędzie dawno się stępiły. Zapomnieć to to samo, co nie pamiętać – uznała i skupiła się na utrzymywaniu dobrego humoru.

Wbrew pozorom, nie było to takie łatwe. Ostatnio jedna z klientek do niej wydzwaniała, pod różnymi pretekstami próbując namówić Marzennę na spotkanie. Kobieta w jej wieku, świeżo upieczona mężatka, parę tygodni temu Marzenna śpiewała na jej weselu, a ona miała łzy w oczach. Nie było to nic dziwnego; na każdym weselu ktoś płakał, ale ona ewidentnie płakała w stronę Marzenny. Marzenna czuła się nieswojo. Kobieta bardzo przypominała jej matkę. W owalu twarzy, kolorze oczy i włosów, łuku szyi.

Potem, podczas przerwy w zabawie, panna młoda podeszła do Marzenny i opowiadała, jak ta jej własną matkę przypomina. Marzenna od razu odbiła piłeczkę, mówiąc, że ona jej też. Stały naprzeciw siebie – dwie nieudane reinkarnacje, które przyszły zbyt wcześnie, demo nowego programu, i nie wiedziały, co dalej powiedzieć. „Przypominasz mi moją matkę" nie jest najlepszym sposobem na rozpoczęcie rozmowy, zresztą żadne „przypominasz mi" nie jest, bo stawia nową poznaną osobę od razu gdzieś na końcu długiego szeregu. Stały tak chwilę, matka w matkę, aż ktoś zaczął wołać o muzykę i czar prysł.

Teraz tamta dzwoniła, spotkać się chciała, nie wiadomo – z Marzenną czy ze swoją matką. Może o tej pretensji powinna zapomnieć i umówić się na spotkanie, nawet jeśli nie jest pewna, kto z kim miałaby się spotkać.

Potwierdził to horoskop dnia następnego: Ryby będą opiekuńcze. Chętnie pomogą słabszej osobie, ujmą się za wyzyskiwanymi czy pokrzywdzonymi. Wieczorem bardzo Ryby wzruszy jakieś wspomnienie lub zdjęcie sprzed lat. Sprzyjający wam znak to Rak.

Marzenna postanowiła, że jeżeli dziś zadzwoni, to się spotkają. Wysłucha swoją twarzą, co tamtej leży na sercu, bo to trochę dziwne, że ją aż tak bardzo ciągnie, że ciągle próbuje, pomimo chłodu Marzenny. Może

jest przyzwyczajona do takiej chłodnej twarzy? Może ta twarz na nowej duszy da przebaczenie, którego najwyraźniej nie dały słowa.

Oczywiście, tego dnia młoda mężatka zadzwoniła z nieśmiałą propozycją spotkania, której Marzenna, z przyszłością rysującą się w barwach opiekuńczości, nie mogła odmówić. Spotkały się po południu w małej kawiarence wystarczająco na uboczu, by spotykali się tam wszyscy, którzy chcieli spotkać się dyskretnie i nienachalnie. W efekcie miejsce było wypełnione do ostatniego stolika. Marzenna wypytywała o pożycie małżeńskie – w końcu ona widywała tylko wstęp, pierwszy rozdział, pierwszy akt, strzelbę zanim wypaliła, zawsze trochę ciekawiło ją to tuż po, kiedy emocje opadają i można się już zacząć domyślać czy na dobre, czy na złe. W końcu kobieta wzięła głębszy oddech, może nie głębszy, może inny inaczej, ale Marzenna wiedziała już, że to ten moment. Poważna rozmowa. Zaczęły rozważać możliwość pokrewieństwa między rodzinami, ale nie odkryły żadnych szczepionych gałęzi drzewa.

Skończyły spotkanie z większą nieśmiałością niż zaczęły. Marzenna myślała o swojej matce, która poświęciła wiele, by jej niczego nie zabrakło, a to, czego nie wystarczyło, starała się załatać miłością, jakby zalewała szczeliny cementem. Marzenna czuła się czasami podduszona, chciała mówić, że ze szczelin też wyrastają kwiaty, choćby trawa, a tak – piach spływa jej w gardło. Ale wiedziała, że to z miłości matki do dziecka i zresztą teraz, kiedy już nie mieszkały razem, dystans pozwalał na swobodne oddychanie. Rzadko odwiedzała matkę, bo myśl o miłości była przyjemniejsza niż jej przejawy w potrójnie zawiązanym szaliku.

O tym Marzenna myślała, nie mówiła, bo wcześniej mówiła mężatka i kontrast byłby zbyt okrutny. To nie tak, że matka ją biła, bo to zawsze jest pierwsze niezadane pytanie. Nie, nigdy. Ale od samego początku – kto nazywa dziewczynkę urodzoną w pierwszy dzień wiosny Marzanna? – brakowało czegoś innego, czegoś niematerialnego, bo materialnie Marzanna w przeciwieństwie do Marzenny miała wszystko zapewnione, nie bardzo miała powód, by się skarżyć, bo jak powiedzieć, że mama jej nie kocha, skoro miała wszystko, łącznie z przebraniami szytymi po nocach

i całodobową opieką w gorączce. Nie mogła nawet mieć pretensji do matki, bo przecież – serce nie sługa. Nawet matczyne.

Marzennie było ciężko na sercu. Bo przecież wrażliwe i chodzące z głową w chmurach Ryby są idealistami. Wierzą w perfekcyjny świat. Wszystko w nim ma swoje miejsce. Nic nie złości ich bardziej niż brutalne wyrwanie ze świata marzeń. Ale jak miała przemarzyć tę sytuację? Chyba jedyne, co mogła, to użyczyć jej twarzy i ciepłego zrozumienia w oczach.

Następnego dnia Marzenna dowiedziała się, że Ryby wpadną dziś na pomysły, które zaskoczą ich otoczenie. Dzień sprzyja różnym podróżom. Na zakupach lepiej pilnujcie portfela i telefonu. Na zakupach już była i pilnowała portfela – słusznie, bo kasjerka źle wpisała kwotę, kiedy miała płacić telefonem za zakupy. Stanowczo powinna wrócić do płacenia gotówką.

Wobec tego pozostały jej pomysł i podróż. Zaskakujący i niedaleka, bo jutro już jechali na zabawę. Najlepiej, oczywiście wymyślić zaskakującą podróż. Marzenna rozważała termy i park linowy, ale takie miejsca, kiedy było się tam samemu, to nie było nic więcej niż bardziej wyszukana sauna i siłownia. Iść do wróżki z pytaniem? Marzenna miała zapisanych kilka numerów telefonów, na weselach rozmawiała z wieloma ludźmi i w nieunikniony sposób w którymś momencie trafiała do niej stara panna z fiksacją na punkcie kryształów, i zawsze od słowa do słowa polecano jej chiromantkę, tarocistkę i z jakiegoś powodu – specjalistów od stawiania baniek oraz weterynarzy.

Marzenna jednak uważała, że horoskopy nie mówią tylko tego, co chcielibyśmy usłyszeć i czasem, czasem musimy wybrać trudniejszą drogę. Trudniejsza droga w tym wypadku wiodła do mieszkania matki na drugim końcu miasta. Zastanawiała się, czy zaprosić Marzannę, czy je sobie przedstawić, ale wolała wiedzieć, czego się spodziewać zanim, jeśli to nastąpi. Powód podróży i bez tego był wystarczająco zaskakujący.

W starym mieszkaniu, u matki starej nie tylko wiekiem, może już niedługo będzie miała nową, obierając ziemniaki do obiadu, Marzenna

pytała o swoje narodziny. Matka niechętnie wspominała tę noc. Była na sali prawie sama, ona i jeszcze jedna kobieta, ojcowie uciekli, one uciec nie mogły, więc leżały, późno, pielęgniarki zmęczone, ona urodziła tuż przed północą, ta druga tuż po, ale ciężko coś więcej powiedzieć, zaraz zasnęła, inne czasy to były i dziecko zobaczyła dopiero w południe, przywieźli dwa beciki na wózku, biało-czarnym, ze skrzydłami z falbany, brakowało mu tylko czerwonego dzioba. Marzenna wyciągnęła kilka matczynych włosów ze szczotki leżącej w łazience i schowała do plastikowego woreczka.

Patrzyła ponad obiadem na swoją matkę, która nagle rozszczepiła się na dwie inne. Jak obraz w trójwymiarze, kiedy ściągnie się z nosa okulary z kolorową folią. Jedna zielona, jedna czerwona, poruszone zdjęcie, prawie niewidoczne różnice. Swojej alternatywnej, biologicznej matki nie pozna, ale patrząc na Marzannę, to chyba dobrze. Choć może to nie jej wina? Może byłoby zupełnie inaczej i jedna by nie topiła, druga by nie głodziła. Może ta matka żyła całe życie przerażona tym, co się mogło stać tamtej nocy i wolała nie kochać wcale niż ryzykować przywiązanie do nie swojego dziecka, raz zraniona, bała się zaufać ponownie i stracić też ją? Potem było już za późno.

Z Marzanną spotkała się tego samego dnia, wypytując o szczegóły jej narodzin. Oczywiście, były takie same. Północ, samotność i kto wie, nikt się nie przyzna, pozostaje niepewność na całe życie. Jej matka ją przelała, jej matka ją ususzyła. Nie doszły do żadnych wniosków czy ustaleń, ale kiedy przy pożegnaniu zamek kurtki Marzenny zaplątał się we włosy Marzanny, to szarpnęła mocniej niż trzeba było.

Dlatego następnego dnia prawdą było, że: Ryby będą wyjątkowo łase na dowody troski i miłości. Należy dziś rozpieszczać Ryby i prawić im komplementy. Lepiej jednak nie zlecać im trudnych spraw, bo mogą być zapominalskie. Sprzyjający znak to Byk. Marzenna patrzyła na trzy koperty leżące na stole. Wyglądały tak samo. W środku Marzena, po lewej Marzanna, po prawej Marzenna. Na wszystkich trzech napisała Marz. Dalej takie samo. W końcu, kobiety, marzenia. Jakie było nazwisko

Marzanny? Nowe musiało być w umowie o występ na ślubie. Marzenna przerzuciła stertę papierów i w końcu znalazła odpowiednie dokumenty. Nazwisko Marzanny wciąż było tam panieńskie, ale chyba mogła wpisać nowe, mężowe?

Nie była pewna, czy zmieniła je całkiem, czy zachowała podwójne. Choć pamiętając, jak i co mówiła, to pewnie zmieniła. Marzenna podpisała koperty. W środku Marzena, po lewej Marzenna, po prawej Marzanna, tak to leżało. Zakleiła koperty, pogoniła kuriera i rzuciła się w wir pracy i imprezowania, co w jej przypadku było jednym i tym samym. Horoskop znowu miał rację. Była wyjątkowo łasa na oklaski i chętna na bisy.

Dobrze, że była już dorosła. Dobrze, że nie mieszkały już razem, że utrzymywała się sama. Łatwiej rozwiązać problemy emocji, kiedy w grę nie wchodzą pieniądze i zależność, i kiedy można kochać, bo nie wynika to z biologicznych przymusów, i kiedy kochać już dłużej nie trzeba, i nikt nie może jej winić.

Najwyżej okazałoby się, że to Marzenna urodziła się dzień później, dwudziestego pierwszego marca, baranek ofiarny na pierwszy dzień wiosny. To by wyjaśniało bliznę na jej czole i dryg, z jakim przewodziła zespołowi.

Przez weekend nie czytała horoskopów, poniedziałek zaczęła od owsianki i przez cały czas miała wrażenie, że jest niedziela. Kiedy kurier przyniósł jej odpowiedź, okazało się, że dalej jest tym, kim cały czas myślała, że jest.

Zeszła po gazetę. Dziś Ryby Nie lubią chaosu i absurdalnych zachowań. Mają skłonność do uzależnień i współuzależnienia. Bywają despotyczne. Zdenerwowane tracą nad sobą kontrolę i mogą mieć skłonność do przemocy. Mało tego, bardzo złości je, kiedy coś dzieje się poza ich kontrolą.

Marzenna była trochę rozczarowana.

XXIV Konkurs literacki
Krajobrazy Słowa

Emilia Osmólska

godło „ŚPIĄCY MOPS”

Wyróżnienie w dziedzinie prozy

Emilia Osmólska

Pierwszoroczna studentka edytorstwa. Pisze właściwie od zawsze, od czternastego roku życia publikuje swoje utwory w Internecie. Chciałaby kiedyś połączyć pasję z pracą zawodową, stąd też wybór kierunku studiów.

Ściany

O, jest pan, dzień dobry. Nie szkodzi, ja też się całe życie spóźniam. Proszę, o tutaj. Tutaj są farby i ten cały pokój, proszę tutaj przygotować, co pan potrzebuje, ja się na tym nie znam. Kawy albo herbaty może panu zrobić? Coś zimnego… to wodę mam tylko. Może być? To już idę. Ja to kawę sobie zrobię. Zaraz wracam.

Proszę, tutaj woda dla pana. Jakby pan czegoś potrzebował, to proszę mówić. Sama, sama. Duże, ale ja lubię, jak jest dużo miejsca. Ach, bogata, czy ja wiem. W biurze pracuję, to nudne, nawet nie ma o czym opowiadać. To nie tak jak w tych serialach, że wszyscy romanse mają i ciągle się dzieje coś ekscytującego. Przez większość czasu ludzie po prostu pracują. A nawet jak jest jakaś integracja, to sztywno i człowiek chce wrócić jak najszybciej. Takie mi się słabe biuro trafiło.

Pan to młody jeszcze jest, ile pan ma? To pan niewiele starszy od mojego siostrzeńca, tak właśnie myślałam. Pewnie kawaler? Kawaler, tak myślałam. Ja też panna, może pan pomyślał, że rozwódka, teraz tyle tych rozwodów. Nie, ja z mężczyznami szybko skończyłam. Szesnaście lat miałam, to mnie kolega siostry do sypialni rodziców zaciągnął, szast-prast. Potem jeszcze kilka razy próbowałam, ale mężczyźni to nie dla mnie. Z kobietami o wiele przyjemniej, zresztą pan mnie rozumie chyba. No, rozumie pan. Także ja to nie bardzo rozumiem fascynację mężczyznami, a gejów to już w ogóle. Nie, żebym do nich coś miała, całe życie to tylko geje w sumie dla mnie mili byli. A to kiedyś z taką parą mieszkałam, a to mi teraz przy przeprowadzce kolega pomagał, też kobiet nie lubi. Chociaż tak panu powiem, że jeśli chodzi o mężczyzn, to właściwie tylko geje kobiety naprawdę lubią. Nie pożądają, nie kochają, tylko je zwyczajnie lubią. Nie, żeby to był jakiś zarzut, ja tak ogólnie mówię. Ale jak się taki dowiaduje, że z nim do łóżka nie pójdziesz i że w ogóle to na tym świecie nie jesteś po to, żeby go zadowolić, to się obraża. Chociaż nic mu tak naprawdę nie robisz. Albo jesteś młodą dziewczyną, potańczyć pójdziesz i już z łapami. Chociaż w życiu takiego na oczy nie widziałaś, bo stoi za tobą. No słowo daję, nawet się nie przedstawi.

Kobiety zresztą nie lepsze. Że intrygantki? Nawet nie tyle. Kobiety są proszę pana często zwyczajnie nudne. Żadnych zainteresowań, żadnych przeżyć. Albo tylko mężczyzna, albo tylko dzieci, albo tylko praca. Udają takie tajemnicze i fascynujące, a tak naprawdę to nic do powiedzenia. Chociaż oczywiście mam przyjaciółki, a moje wszystkie kochanki uważałam za fascynujące, kiedy z nimi sypiałam. Ale człowiek to sobie potrafi takie wyobrażenie drugiego człowieka stworzyć. Tylko, żeby się nie okazało, że przypadkiem jednak nie jest zakochany. Nic gorszego w naszej kulturze jak skończyć samemu. Chociaż osobiście uważam, że samotność może być dobra. Rozwijająca nawet. A niektórzy ludzie to w ogóle nie powinni się brać do związków, bo tylko namieszają innym w głowie i nic dobrego z tego nie wyjdzie. A już o posiadaniu dzieci nie mówię. Bez sensu to jest pomyślane, że tak łatwo można dziecko mieć. Jakieś papiery na to powinny być. Jak w Chinach czy coś. No, może to nie najszczęśliwszy przykład, ale tak utopijnie marząc to uważam, że dzieci powinni mieć tylko ludzi spełniający bardzo określone warunki. Jakie? W sumie to nie wiem, ja dzieci nigdy nie miałam. Ale mojej matce bym takich uprawnień nie dała.

Mocną tą kawę sobie zrobiłam i gadam jak potłuczona. Nie przeszkadzam? Pan tak lubi? No to dobrze, lubię sobie czasem porozmawiać, a nie bardzo mam z kim. Jak już mówiłam - dzieci nie mam, z oczywistych względów, związku stałego też nigdy nie stworzyłam. Wie pan, mi się wydaje, że ludzie teraz mają jakieś nierzeczywiste oczekiwania. Chcą z kimś rozmawiać godzinami, ułożyć sobie życie, mieć dzieci i fantastyczny seks. Możliwe? Oczywiście, że możliwe, ale nie z jedną osobą. Śmieje się pan, ale ja naprawdę znalazłam osobę do każdej z tych rzeczy. Tylko, że zawsze było źle, bo a to zdradzasz, a to w łóżku źle, a to inne plany życiowe. Słowo daję, powariowali wszyscy. I jeszcze myślą, że szukają miłości. A miłość to jeszcze inna sprawa.

Siostra? A tak, że siostrzeńca mam, mówiłam. Mam siostrę, starszą, ale niewiele. Tylko ona wcześnie rodzinę założyła. Kochamy się bardzo, ale ona na wsi, a ja tutaj to i ciężko się spotkać, i inne życia prowadzimy. Zupełnie inne, tak naprawdę to zawsze tak było. Ona ma syna, technikum właśnie skończył i córkę. Córka to teraz w takim najgorszym wieku, co do ładu

sama ze sobą dojść nie może. Jak mała była, to mnie kochała ponad życie, tylko przyjechałam to mi się na szyję rzucała, księżniczką nazywała. A teraz? Raz jest jak dawniej, a raz to mi się wydaję, że nie mnie, tylko nazistę jakiegoś widzi. Ale przejdzie. Chociaż powiem panu, że mi długo nie przechodziło. Dopiero ostatnio, tak naprawdę. Ja to trochę taka czarna owca byłam, wie pan? Wyjechałam zaraz po szkole studiować tutaj, w dodatku lesbijka, a wtedy niewiele się o tym mówiło. Świat teraz bardzo do przodu poszedł, zresztą pan chyba wie, chociaż pan młody taki. Ja też niestara, wiem, ale tak mi się wydaje, że czasami brzmię jakbym już osiemdziesiątkę na karku miała. Tymczasem nawet połowy jeszcze nie mam. Tak już chyba jest, że niektórzy to starzy od kołyski. W każdym razie czarna owca byłam, szybko się wyprowadziłam i wracać za nic nie chciałam. Czemu? A co mnie na tej wsi by trzymało? Pięknie, oczywiście, ale ci sami ludzie, ciągle to samo. Nie dla mnie. Pan z miasta? Całe życie tutaj, ciekawe. Dorabia pan na studiach, tak? A to się nie spodziewałam. Dlatego pan tak słucha inteligentnie. Trochę jestem uprzedzona, wie pan, jak każdy i tak się dziwiłam, bo myślałam, że pan tak planuje całe życie tylko ludziom malować ściany. Oczywiście, są ludzie, co całe życie fizycznie pracują, a oleju w głowie mają więcej od niejednego inteligenta. Ale wie pan, jakie są stereotypy.

Szczera? To życie mnie nauczyło. Kiedyś to strasznie kłamałam i kręciłam. Aż w pewnym momencie nie wiedziałam już jaka jest prawda i kto ja jestem. Tak się teraz zastanawiam, jak panu mówiłam, że mi te humorki młodzieńcze długo nie przechodziły, to tak dochodzę do wniosku, że niedojrzała długo byłam i chyba nadal jestem. Widzi pan, zdecydować się nie mogę, czy jestem stara w głowie czy jednak dzieciak. Chociaż można być zgorzkniałym i niedojrzałym. Ale jednak wolałabym o sobie myśleć trochę lepiej. Może dlatego mi się życie układa tak, a nie inaczej.

Ale, z drugiej strony, wszyscy teraz są tacy smutni, zauważył pan? Gdzieś się spieszą, ciągle coś muszą robić. I tylko praca, pieniądze i władza. Nie mówię, pieniądze są ważne, a praca do nich niezbędna. Chyba, że kto się księżniczką urodził. Jak byłam mała, to strasznie chciałam zostać księżniczką. I jak się dowiedziałam, że to raczej niemożliwe, to w ryk. A siostra

ze mnie w ryk. No, ale w każdym razie, oczywiście trzeba pracować. I ja chodzę do biura codziennie, a pan przecież też tych ścian nie maluje z zamiłowania. Pieniędzy potrzebujemy. Ale ja nie wiem, czy pan ma taką pogoń za pieniądzem? Co pan studiuje? Filozofię? O, to cudownie! Czyli jest pan zupełnie niepraktyczny. Ja też. To znaczy pracę mam bardzo praktyczną, ale widzi pan sam, jaka jestem. Gadam i gadam i na co mi to całe gadanie. No, ale jak pan na filozofię poszedł, to na pewno nie ze względu na pieniądze, czyż nie?

Rodzice na pana nakrzyczeli? Trochę się im nie dziwię. Ale to dobrze. Na mnie to ciągle krzyczeli. Zwłaszcza odkąd się wyprowadziłam i miałam w dupie ich zdanie. Kocham ich bardzo, ale staram się rzadko jeździć. Bo ile można słuchać o mężu i dzieciach? Naprawdę, nadal. Ale mama dobrze gotuje. Zresztą jak siostra. Do siostry to lubię przyjeżdżać. Już panu mówiłam, ma dzieciaki, mąż jej taki normalny człowiek, oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Wesoło jest. Wina się napijemy, ktoś zażartuje, na wsi to zaraz sąsiedzi przyjdą. Oczywiście nie tak jak kiedyś. Teraz ludzie wolą się zapowiadać. Ale i tak coś się dzieje.

A czemu filozofia? O, to ładne. Czy ja lubię myśleć? Czy lubię, czy nie lubię, i tak to robię. I czasami mi się wydaje, że za dużo. Bo, sam pan wie, są tacy ludzie, co nie myślą za wiele. I im się chyba jakoś lepiej żyje. Ja to niewiele wiem o filozofii. Co studiowałam? Administrację. Da pan wiarę? Nudziarstwo, czy ja wiem? No, może rzeczywiście. Ale da się przyzwyczaić. A nie wiem czemu. Tak wybrałam, stwierdziłam, że praca będzie. Jednak trochę przyziemna jestem. No i rodzice by mi nie dali wyjechać na taką filozofię. Ha, ściany malować. Rzeczywiście, mogłabym, ale chyba taka odważna nie byłam. Ale panu gratuluję. Teraz już odważniejsza jestem.

Może pan sobie przerwę zrobi? Pali pan? No to chodźmy na balkon. Ja to niby nie palę, od liceum powtarzam, że tylko popalam. Ale jak mnie weźmie, to pół paczki na raz wypalę. I potem miesiąc bez papierosa. Od podstawówki? Ojej, to wcześnie pan zaczął. Kolegom pan chciał zaimponować. Mężczyźni to lubią się tak przed sobą popisywać. Zresztą kobiety też. Tylko my jesteśmy subtelniejsze. Chociaż powiem panu, że mnie to i tak

wiele tych damskich gierek omija. Wie pan, ja nie jestem zagrożeniem. Ale jak patrzę na to, co niektóre moje koleżanki wyrabiają, to ręce mi opadają. Po co się tak męczyć? I rzadko kiedy naprawdę chodzi o tego konkretnego mężczyznę. Kobiety też przedmiotowo traktują mężczyzn, wie pan? Tylko w inny sposób. Na seksie im aż tak nie zależy. Chociaż bardziej niż by się niektórym wydawało, to na pewno. Ale kobietom od początku życia wmawia się samotność przez te wszystkie bajki o królewiczach na białym koniu. I potem jak mają dwadzieścia parę lat, to są tak przekonane o własnej samotności, że myślą, że jak nikogo nie znajdą sobie, to zgniją w samotności. Chociażby „Bridget Jones", oglądał pan pewnie.

Lubię tak patrzeć, jak samochody przejeżdżają. Uspokaja mnie to. Jak byłam mała, to jak się kładłam, było tak ciemno, że ręki swojej nie widziałam. Wie pan, jak to na wsi, żadnych latarni, samochodów. I ja się zawsze tak strasznie tej ciemności bałam. Potworów? Nie, chyba nie potworów. Tylko tak jakby w tej ciemności wszystko co złe zostawało ze mną. I myślałam o złych rzeczach wtedy tylko. A jak się o takich rzeczach myśli, to spać nie można. I jak się do miasta przeprowadziłam, to zachwycona byłam, że światło można całkowicie zgasić, ale tak do końca ciemno nigdy nie będzie. I jak spać nie mogę, to właśnie patrzę na samochody. Mniej ich jest w nocy, ale jak szybko jadą!

Prawo jazdy zrobiłam, ale jak tutaj przyjechałam, to od nowa musiałam się uczyć. Kolega mojej znajomej mi pozwalał czasami się przejechać swoim samochodem. Zakochany był we mnie. Zresztą ja tak jeżdżę, że trzeba być do szaleństwa zakochanym, żeby ze mną do samochodu wsiąść. Mówił mi, że tak ładnie redukuję i w ogóle. Serce mu złamałam, nie dało się inaczej. Zresztą mi się ta moja znajoma, co to jej kolega był, wtedy podobała. A jej ten kolega. Dobrze się nie skończyło, chociaż jest co opowiadać.

Kiedy się zorientowałam? Nie tam, już i tak panu połowę życia opowiedziałam, to o tym też możemy. Wie pan, jak te szesnaście lat miałam, to w sumie ciekawa byłam, co to takiego ten seks, toteż z tym kolegą mojej siostry się jakoś bardzo nie opierałam. Zresztą wydawało mi się, że mi się podoba. Ten kolega, seks nie, seks był okropny, ale myślałam, że tak

musi być. Jakoś niedługo potem pojechałam do Warszawy z siostrą, do kuzynki naszej. Ona wtedy studiowała, w wieku mojej siostry jest. I w tym warszawskim towarzystwie poszliśmy do klubu. Upiłam się jak to małolata, zresztą nadal mam słabą głowę, ale wtedy to przecież chyba drugi raz w życiu wódkę miałam w ustach. No i sama nie wiem jak to się stało, ale taka dziewczyna mnie pocałowała. Boże, myślałam, że oszaleję. Oczywiście, alkohol i w ogóle, ale wie pan, ja jak następnego dnia wstałam, to owszem, chciałam umrzeć, bo mnie tak łeb bolał. Ale sobie pomyślałam, że to wszystko, co mówią o seksie, to o wiele więcej wspólnego ma z tym pocałunkiem w klubie, niż z tym chłopakiem w sypialni moich rodziców.

Siostra wściekła na mnie była oczywiście, chyba ze trzy sukienki jej w tej Warszawie kupiłam za pieniądze wyzbierane przez rok, żeby tylko rodzicom nie mówiła. I wtedy ta kuzynka z Warszawy bardzo mi pomogła, powiedziała w ogóle, że można być lesbijką i tak dalej. Bo ja to nawet nie wiedziałam, że takie coś istnieje. Może kiedyś tam usłyszałam, ale mi się wydawało, że to choroba jaka. No i długo się zastanawiałam, wie pan, takie rzeczy nie przychodzą z dnia na dzień. W końcu w klasie maturalnej powiedziałam rodzicom. Reakcja była okropna, nic nie rozumieli, zresztą, tak jak mówiłam, oni nadal nic nie rozumieją. Wyniosłam się z domu i po swojemu zaczęłam żyć. A niełatwo było kogoś poznać, dopiero ostatnio jest łatwiej, chociaż powiem panu, że to i tak pozorne, trudno znaleźć kogoś, kogo nie będzie się chciało zabić po kilku rozmowach.

Dramatyczna? No, rzeczywiście, jestem dramatyczna. W ogóle to jeśli chodzi o miłość, to ja zawsze byłam trochę pierdolnięta, wie pan? Jak już kochałam, to mogłam zamordować. Za tę osobę albo właśnie nią. Raz jedna moja dziewczyna mnie zdradziła. Wie pan, zawsze mi się wydawało, że jestem liberalna, jeśli chodzi o zdradę. To znaczy, dopuszczałam do siebie myśl, że każdemu może się przytrafić i tak dalej, i tak dalej. Ale jak ona mnie zdradziła, to wpadłam w szał. Jeszcze z facetem, rozumie pan? Nie, pan nie zrozumie, bo dla mężczyzny to co innego jak kobieta zdradza z kobietą. Niektórzy to się nawet cieszą. I nie traktują w ogóle jak zdrady. Ale dla mnie to był cios. Wie pan, po tylu latach zakochiwania się w kobietach,

które wybierały mężczyzn, ta jedna wybrała mnie. Ale potem się rozmyśliła. I wie pan, co powiedziała? Że się zakochała. Była biseksualna i zakochała się w mężczyźnie podczas związku ze mną. Po takich przeżyciach to ja się nie dziwię, że nikt nie lubi biseksualnych ludzi. I nikt im nie wierzy. W każdym razie najpierw to chciałam jej dom podpalić. Zresztą temu facetowi też. Ale mnie przyjaciółki powstrzymały. Poważnie mówię, może się pan śmiać, ale ja gotowa byłam zapierdalać na stację po kanister benzyny. O, właśnie taka jestem, jak się zakocham. Dlatego tego nie lubię, bo się czuję, jakbym oszalała. Dosłownie. I to nie w takim pozytywnym sensie, że motylki i w ogóle. Bardziej jak „Fatalne zauroczenie".

Wchodzimy do środka? Ładna pogoda, nareszcie się robi ciepło. Najbardziej lubię wiosnę ze wszystkich pór roku, a pan? Jesień? Czemu jesień? No tak, pan taki refleksyjny, filozof, jesień rzeczywiście sprzyja refleksji. Ja lubię wiosnę, bo wszystko tak się budzi i jest ciepło. Ale nie w taki wulgarny sposób. Wie pan, lato wydaje mi się jakieś nieprzyzwoite i to nawet nie chodzi o to, że wszyscy chodzą bardziej rozebrani niż w inne pory roku. Wydaje mi się, że jeśli istnieje niebo, to tam jest wieczna wiosna. Lata w ogóle nie ma pewnie, zimy też nie.

Ale ja nie jestem religijna. I chyba nawet nie jestem wierząca. Nawet nie chodzi o kościół i to wszystko, to swoją drogą. Po prostu nie wydaje mi się, żeby istniał ktoś, kto ma tymi naszymi życiami kierować. Ludzie zawsze chcą zrzucać odpowiedzialność na kogoś innego, a jak nie ma już na kogo, to zrzucają na Boga. Tak samo jak muszą coś zrobić, a im się nie chce. Albo podjąć trudną decyzję. Bóg wszystko załatwi. Tymczasem, nieważne czy on gdzieś tam jest czy nie, to jesteśmy na świecie zupełnie sami z naszymi problemami. Akurat to bardzo wcześnie w życiu zrozumiałam.

Jak byłam mała, to nam się kot przybłąkał. Oczywiście u nas na gospodarstwie mnóstwo kotów było. Ale ten był inny. Tamte były, nie były, wie pan, jak to zwierzęta na wsi. Inaczej niż takie, co się trzyma w domu. Ale z tym się dogadałam. Nie wiem, ile mogłam mieć wtedy lat. Osiem? A może nawet mniej, chyba do szkoły jeszcze nie chodziłam. W każdym razie dałam mu imię, wzięłam do siebie do pokoju i trzymałam, wkładając

wszelkie wysiłki w to, żeby rodzice się nie dowiedzieli. Kto to widział trzymać zwierzę w domu, jak się ma całe gospodarstwo? Ale ja sobie z tym kotem rozmawiałam, nazwałam go Wałęsa, bo się wtedy ciągle o Wałęsie słyszało. Ja oczywiście wiedziałam tylko tyle, że to pan z wąsami, ale pasowało mi do kota. Wie pan, ten kot się wałęsał i trafił do mnie. I ja mu wszystko o sobie powiedziałam. Do tej pory żadnej przyjaciółce ani kochance tyle o sobie nie opowiedziałam, co jemu. W sensie, ja mu mówiłam wszystko, co tylko sobie pomyślałam, a wcześniej nawet przed sobą takich rzeczy nie mówiłam. Teraz ludzie do terapeutów chodzą, to pewnie im tylko takie rzeczy opowiadają. A ja temu kotu.

Pan się śmieje, co taka mała dziewczynka mogła opowiedzieć o sobie. Ale mi się wydaje, że dzieci to mądrzejsze są od dorosłych. Oczywiście, nie mają doświadczeń, więc takiej wiedzy o życiu nie mogą mieć szerokiej jak dorośli, bo niby jak? Ale mi się wydaje, że doświadczenia psują człowieka. I ogłupiają. A już na pewno ból ogłupia człowieka. Potem się miotamy, żeby tylko znowu nie zostać skrzywdzonym. A i pan, i ja wiem, jak to w praktyce wychodzi.

Ale do tego kota wracając, to mama się oczywiście dowiedziała. I wygnała go na podwórko. Rozpaczałam okrutnie, pierwszy raz miałam złamane serce. I następnego dnia poszłam go szukać. Ale uciekł już, zresztą nie ma się co dziwić. Wtedy sobie pomyślałam, że już nigdy się z nikim tak nie dogadam. Zresztą rację miałam. Ale wie pan, doznałam wtedy takiego śmiesznego uczucia, oczywiście mówię to teraz, po prawie trzydziestu latach, więc prawdopodobnie było to na poziomie tej, no jak to się mówi, podświadomości. Ale takie uczucie miałam jak człowiek, który się odkochuje. To znaczy nie odkochuje się jeszcze tak naprawdę, ale wkracza w tę pierwszą fazę, kiedy zdaje sobie sprawę, że musi żyć bez tej drugiej osoby, wie pan, o co o mi chodzi? Bardzo dobrze pan wie, widzę, że się rozumiemy. Ach, jak dobrze, że to pan mi przyszedł pomalować te ściany. No i to głupie, ale jako ta mała dziewczynka postanowiłam czy z kotem, czy bez kota muszę żyć dalej i radzić sobie z przeciwnościami losu. No i jestem tutaj, jakoś sobie poradziłam. Nie mówię, że jakoś szczególnie trudno miałam

w życiu. Dostałam chyba przeciętną dawkę cierpienia w życiu, o ile w tej kategorii można mówić o jakimś „przydziale".

Co pan mówi? Czemu na ten kolor? Pewnie pan się spodziewa teraz jakiejś gadki typu „zielony to kolor nadziei" albo chociaż stwierdzenia, że zielony to mój ulubiony kolor. No, niestety, nie odpowiem tak panu. Po prostu mi się podobał. Nie za jasny, nie za ciemny, będzie tutaj pasował. Wie pan, jedna z moich wielkich miłości miała takie przepiękne zielone oczy. Ale zupełnie inne niż te na ścianie. To był taki kolor, hmm, teraz sukienek dużo robią w takim kolorze, modny jest. Coś pomiędzy butelkową zielenią a szmaragdem, wie pan? Widzę, że pan jak ten stereotypowy mężczyzna z kawałów, zielony to zielony. Otóż jej oczy to nie był zwykły zielony, to musi pan wiedzieć. Znajomi mnie zaprosili na kolację, sama wtedy byłam. Ona przyszła z narzeczonym, w Anglii wtedy mieszkali i przyjechali do Polski na kilka tygodni. Jak ja te oczy jej zobaczyłam, to się zakochałam, wie pan? Tak z marszu. Ludzie mówią, że miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje, ale ludzie mówią dużo rzeczy, rzadko zgodnych z prawdą. W ogóle piękna była. Włosy miała takie kasztanowo rude, Ania Shirley chyba chciała takie mieć. Czytał pan to? Ja też, chyba z dziesięć razy, to była pierwsza książka, jaką przeczytałam. Od babci dostałam, ale moja babcia to inna historia, to za chwilę. No i ja na tej kolacji wpadłam w rozpacz, bo miałam wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat i wpadanie w rozpacz z powodu dramatycznych miłości było moim głównym zajęciem. Zresztą powiem panu, że uwielbiałam się zakochiwać w heteroseksualnych i najlepiej zajętych kobietach. Wtedy miałam spokój, mogłam się zająć cierpieniem. Z półtorej butelki wina wypiłam na tej kolacji, więc były tylko dwie opcje – mogłam stać się niesamowicie czarująca albo niesamowicie odpychająca. Jakimś cudem udało mi się być czarującą. Rozmawiałam z nią, ale wie pan, to taka zwykła rozmowa była. Potem już jej nigdy nie widziałam, ale myślałam o niej następne kilka miesięcy i przeżywałam. Nie wierzy mi pan? No słowo daję, taka byłam głupia. Potem mi trochę przeszło, ale czy ja wiem, czy taka dużo mądrzejsza jestem?

Moja babcia? A tak, mama mojego taty. Co to za kobieta była. Dziadek zmarł, jak tata miał kilkanaście lat, toteż go nie znałam. Jak już mówiłam, trochę taka czarna owca jestem, więc rodzina zawsze wolała moją siostrę, babcia zresztą też. Tylko mi się wydaje, że to z innego powodu niż wszyscy. Wydaje mi się, że babcia widziała we mnie trochę siebie. Zmarła niedługo potem, jak skończyłam osiemnaście lat i się wyprowadziłam. Ale pamiętam, jak byłyśmy nastolatkami, to babcia była mistrzynią porównywania. Kinga to taka porządna, rodzicom pomaga, a ty byś tylko na imprezy latała. Kinga to moja siostra. A wcale tak nie było, żebym tylko na imprezy latała. Latałam, bo co innego robić na wsi. Zresztą taka zepsuta nie byłam, alkoholu prawie nie tykałam do tej pamiętnej nocy w klubie w Warszawie. Papierosy wcześnie zaczęłam palić, to fakt. Może czternaście lat miałam, jak z takim kolegą z klasy ukradliśmy chesterfieldy jego ojca. Pamiętam, to jedyny raz, jak mi się tak porządnie w głowie przy mężczyźnie zakręciło. Babcia uważała, że jestem skaraniem boskim, ale wydaje mi się, że to dlatego, że ona też trochę nim była. Babci uroda to była legenda całej wsi, każdemu dosłownie się podobała, nawet księża na niedzielnych mszach głosili kazanie tak, jakby tylko do niej. I kiedy dziadek umarł, to była pewnie gdzieś w moim wieku. Od tego czasu, tata wspominał, zaczął się korowód rozmaitych wujków. I to się ciągnęło do jej śmierci. Babcia w każde Boże Narodzenie i Wielkanoc opowiadała, że za mąż wychodzi. Czasami nawet ci narzeczeni z nią przychodzili. Już koło czternastego roku życia to miałam zapamiętaną formułkę, co mówić tym delikwentom przy opłatku.

Babcia kochała Kingę, bo Kinga była wszystkim, czym babcia nie była, a chciała być. Kinga jak się zakochała w wieku szesnastu lat, to wyszła za mąż w wieku lat dziewiętnastu, dzieci po ślubie, wszystko po bożemu, jak to się mówi. Ale już przedtem to Kinga się uczyła lepiej ode mnie i to był jakiś koronny argument, zresztą nie tylko u babci, ale u rodziców też. Bo przecież ja sama na te imprezy nie chodziłam, to zawsze Kingi znajomi byli. Byłam taką typową młodszą siostrą, zawsze się chciałam wkręcić do tych starszych, fajniejszych. Mówiłam, że jak ona nie pójdzie ze mną na imprezę, to sama pójdę. Szła ze mną, pewnie się bała, że się schleję albo coś opowiem

o niej i będzie się musiała wstydzić. Tak sobie teraz myślę, że upierdliwa strasznie byłam. Jak się Kinga z Tomkiem zaczęła spotykać, to też jej dokuczałam, jak to młodsza siostra. Ale szybko go polubiłam, mówiłam panu, że dobry kontakt mamy.

Pan ma rodzeństwo? Jedynak? O losie, to strasznie smutne musi być. Przyzwyczaił się pan? No tak, jak pan całe życie jedynak, to pan się musiał przyzwyczaić. Czasami chciałam być jedynaczką, jak każdy, kto ma rodzeństwo. Zwłaszcza jak mi wszyscy mówili, że Kinga taka spokojna, ułożona, dobrze się uczy, potem, że rodzinę założyła, została na gospodarstwie, dzieci ma, a ja to się tylko łajdaczę i sobie wymyśliłam, że facetów nie lubię. Ale tak sobie myślę, że ta Kinga Bogu ducha winna i bez niej bym zwariowała, a ja i tak bym się łajdaczyła, nawet jakby jej nie było. Zresztą sama Kinga zawsze mnie broniła. Oczywiście darłyśmy koty jak to siostry, zwłaszcza, że taka niewielka różnica wieku między nami, cztery lata. Ale wśród „dorosłych" zawsze mnie broniła. I nigdy nie oceniała. Do tej pory tak jest. Jakbym w Boga wierzyła, to za tą siostrę bym mu bez przerwy dziękowała, bo chyba tylko dzięki niej nadal po tej ziemi sobie chodzę. Ale ja też ją kryłam. Wszystkim się wydaje, że taka święta, ale do Tomka się potrafiła w środku nocy wymykać, wiadomo po co. Ale oczywiście zamieszkali razem dopiero po ślubie. To standard na wsi, pan „Chłopów" przeczyta. Czytał pan? No właśnie, u mnie podobnie bywało na wsi. Dla mnie to chore było, dlatego też się wyprowadziłam. Niedobrze człowiek funkcjonuje w takiej małej społeczności. Zwłaszcza jak inaczej chce żyć.

Czy ja na pewno panu nie przeszkadzam? No ja nie wiem, niektórzy to w ciszy wolą pracować. Mój ojciec na przykład nienawidził hałasu. Mała byłam, w niedzielę po kościele jak tata gazetę czytał, to w całym domu musiało być jak makiem zasiał. Ewentualnie kartofle się mogły gotować. Myślałam wtedy, że umrę z nudów i nawet żałowałam, że się nie da. Jak się ma kilka lat i trzeba być cicho przez kilka godzin, to to nie jest, proszę pana, naturalny stan. Ale się ojca bałam strasznie. Nie, żeby nas bił czy coś, to nigdy. Oczywiście groził, że pas przyniesie, ale nigdy tego nie zrobił. Chociaż spojrzeć tak potrafił, że mogłam obiecać, że już do końca życia

cicho siedzieć będę. A widzi pan, jak mi to wychodzi. Zawsze tak było. Jak miałam kilka lat i listonosz przychodził, to tylko go widziałam, już biegłam szosą do niego i potrafiłam mu opowiedzieć wszystko, co mnie w danej chwili interesowało. A to sympatyczny człowiek był, zawsze mnie słuchał i jakieś słodycze dla mnie miał. Kinga z kolei to jak pan, nie mówi dużo. Woli pan słuchać? To cenne, ja bardzo sobie takich ludzi cenię. Jak się zadaje z takimi gadułami jak ja, to rzadko kiedy można się dogadać. Bo każde chce mówić. A pan na przykład niewiele mówi, ale ja każde pana słowo zapamiętam. I ono jest cenne. A jak człowiek tak gada, co mu ślina na język przyniesie, jak ja, to się od razu wyłączyć można.

Pan mnie słucha? No to panu pomnik by należało postawić, naprawdę, podziwiam, że się pan nie wyłącza przy tych głupotach. Ale ja to przez to gadulstwo całe życie problemy miałam. W domu, potem w szkole. Wie pan, ile ja uwag dostawałam, ciągle ktoś coś do dziennika wpisywał. Ale proszę mi powiedzieć, czy ktoś naprawdę sądzi, że do szkoły się idzie, żeby te wszystkie szlaczki malować albo dodawać do siebie cyferki? Szkoła tak naprawdę niczego nie uczy. To znaczy nie wprost. Przy okazji za to człowiek się uczy życia. Kłamać się uczy na przykład, oszukiwać. Pan się śmieje, ale naprawdę taki system mamy, że to są pierwsze rzeczy, jakie mi się kojarzą ze szkołą. Mówiłam już panu, że kiedyś strasznie kłamałam. No to gdzie się tego nauczyłam? W szkole oczywiście. Zanim do szkoły poszłam, to byłam taka szczera jak teraz, ale to ja się po tej szkole musiałam na nowo nauczyć, jak mówić prawdę.

W podstawówce lubiana byłam, wie pan, zawsze taka odważna, coś odpyskowałam, jak od kogoś ściągnęłam, to potem jemu dałam ściągnąć. Kanapki wymieniałam. Szybko się nauczyłam, jak to funkcjonuje. Ale potem już było gorzej. W liceum doszłam do wniosku, że ludzie są po prostu głupi i nie warto sobie nimi zawracać głowy. Naprawdę, mówię panu, mało kto by mnie tak inteligentnie słuchał jak pan. Na przykład takie poczucie humoru. Wie pan, z czego się teraz ludzie śmieją? Powiem panu. Z gówna i pierdolenia. No słowo daję, dwie rzeczy, które robią wszyscy, a jak pan do kina pójdzie, to się nagle okazuje, że to jakieś niesamowicie zabawne.

Nic już nie rozumiem. Moja druga babcia zawsze powtarza, że ona to już tego świata nie rozumie. Całe moje życie to powtarza, teraz to rzeczywiście już pod dziewięćdziesiątkę jest. I ja też tego świata nie rozumiem, chociaż mam prawie trzy razy mniej. Moja druga babcia? A ona rzadko nas odwiedzała, bo moja matka cztery siostry miała i każda dzieci, więc raczej się od święta tylko spotykaliśmy. Ale to taka kochana babcia była, jak z filmów. Tylko się jej myliłyśmy, ja, Kinga i nasze wszystkie kuzynki. Ale gotowała jak prawdziwa babcia. Pierogi, bigos, rosół, szarlotka. Aż mi ślinka leci. Ja to nie umiem gotować. W domu zawsze mama, czasami siostra. A jak się wyprowadziłam, to na gotowanie czasu nie miałam. Trzeba było się uczyć, palić, pić, tańczyć, całować się, książki czytać, zarabiać pieniądze. Cały tydzień potrafiłam na bochenku chleba i serku Almette wyżyć. Albo się do kogoś wprosiłam. Seks się starałam nie u siebie uprawiać, to mi zawsze jakaś dziewczyna jajecznicę zrobiła. Kobiety takie są, wie pan? Jak się z mężczyzną sypia, to loteria. Zrobi ci śniadanie albo nie. Wygoni z domu nad ranem albo sam zniknie. A kobieta to choćby się wstydziła, że to z tobą zrobiła, to rano masz kawę i jajecznicę. Aż zgłodniałam, a pan nie głodny? Nie? Pan tak tylko mówi z grzeczności, pizzę zamówię.

Jaką pan lubi? Mi to obojętne w sumie. Tylko nie tę z ananasem. Swoją drogą zawsze mnie to bawi, że pizza z ananasem to w niektórych kręgach jest temat obok aborcji i religii. Kiedyś się dwóch moich kolegów popiło tak, że sobie w mordę prawie dali, bo jeden zjadł ostatni kawałek pizzy bez ananasa. To ten drugi powiedział, że on tego gówna tykać nie będzie i z łapami na niego. Dziewczyna mu tego ananasa palcami wybierała, a ja się tam tarzałam ze śmiechu. Bo dorosły facet, wódki się napił, bić się chciał, ale to ona mu ananasa wygrzebywała z tej pizzy. Bo on nie mógł sam. Słowo daję, komedia. To zamówię jakąś, może pepperoni? To idę, zaraz wrócę.

Zamówiłam, będzie za jakieś pół godziny. Dobrze panu idą te ściany. Ładnie pan maluje, widać, że się pan na tym zna. Niektórzy to mi mówili „sama pomaluj", ale jak ja ledwo paznokcie sobie potrafię pomalować. Zawsze mi takie smugi zostają i się coś spieprzy. Tak samo tutaj, potem bym coś krzywo miała i pluła sobie w twarz, że nie zatrudniłam fachowca. Ale

ludzie tacy skąpi są. Ja to uważam, że często lepiej zapłacić, żeby porządnie było, albo żeby się samemu nie męczyć. Bo co mi po tych pieniądzach, jak nie mam na co je wydawać? Ale to w tej szkole uczą cwaniakowania takiego, to co się dziwić, że potem człowiek każdą złotówkę próbuje zaoszczędzić.

Moja matka jak się dowiedziała kiedyś, że zatrudniłam panią, żeby mi posprzątała, chyba to przed jakimiś urodzinami moimi było czy co, to prawie się popłakała. Biadolić zaczęła, że jak ona mnie wychowała, że przecież mnie uczyła sprzątać. Prawie tak źle jak kiedy się dowiedziała, że nie sypiam z mężczyznami. A wie pan, jak matka coś powie, to człowiek czy chce, czy nie chce, ale się przejmie. I ja przez chwilę mówię sobie „Chryste Panie, jaka ja zepsuta jestem, żeby w moim domu obcy człowiek sprzątał". Ale potem sobie mówię, że nie po to się od matki wyprowadziłam, żeby mi teraz jej mądrości w głowie krzyczały. W końcu mam prawo zatrudnić człowieka, żeby mi życie ułatwił. To jego praca, ja mu dam pieniądze, to też życie ułatwiam, prawda?

Ale matka to się do wszystkiego potrafi doczepić. A moja to już w ogóle. W ogóle to mi się wydaje, że jeśli chodzi o matki, to córki mają o wiele gorzej. Zwłaszcza teraz, kobiety wychowują mężczyzn na królewiczów jakichś. I żadna kobieta potem nie jest dla nich wystarczająco dobra. Mówię panu, co moje koleżanki muszą przechodzić. Jedna ostatnio za mąż wyszła, to dopiero pół roku temu nauczyła tego swojego odkurzać. Słowo daję, dorosły facet, po trzydziestce już. Ale póki z matką mieszkał, to ona mu nic w domu nie pozwoliła zrobić, a potem zawsze się znalazła, a to dziewczyna, a to koleżanka. Ale dobrze, że się za niego wzięła. Powiedziała, że albo zacznie coś robić w domu, albo ślubu nie będzie. Cieszę się, że w tym brać udziału nie muszę. Moja matka to czepialska jest. I to wobec wszystkich. Wobec mnie, wobec ojca mojego, wobec Kingi nawet, już o szwagrze i ich dzieciach nie mówiąc. Mówię do niej, że do mnie czy do Kingi to niech już się przyczepia, od tego w końcu jesteśmy. Ale takie dzieciaki to powinny babcię kojarzyć ze słodyczą i miłością. A nie, źle uczesane, źle się wyrażają, niegrzeczne, a czemu Piotrek do technikum, a nie do liceum, a czemu Magda taka opryskliwa. Kilkanaście lat ma, to jaka ma być. Zresztą ja

gorsza jeszcze byłam. Ale ja to dla matki najgorsza, wiadomo. Ojciec też całe życie nie dość dobry. To na cholerę za niego wychodziła, ja się zastanawiam. A ojciec to w mojej matce zakochany, niezmiennie. Mówię panu, aż mu się dziwię, bo całe moje życie on jednakowo w niej zakochany. A ona go jednakowo opierdala. Ale może dlatego on taki zakochany? Ponoć mężczyźni wolą jak trudniej, ale ja wcale tego nie widzę. Teraz to im głupsza, tym lepsza, zabawkę chcą mieć.

A to nieciekawa historia jest. Nie, nie smutna, ale naprawdę nieciekawa, nudna po prostu. Rodzice całe życie sąsiadami byli, znali się od dziecka. Mama cztery siostry miała, tata jednego brata, to wie pan, rywalizacja o nich była, bo nigdzie się nie dało poznać kogoś innego. Niby jak? No i tak wyszło, że się mój tata na mamę zdecydował. A jak się zakochał, to przepadł i taki przepadnięty do dziś. Mama to chyba za niego wyszła z braku laku. Wiedziała, że za mąż musi pójść, dzieci chciała i iść na swoje. To się rodzice pobudowali we wsi obok i się urodziłyśmy. Naprawdę nic ciekawego. Żadnych zdrad, zwrotów akcji, anegdotek. Najnudniejsza historia miłosna na świecie, jakich pełno. Całe życie rodzice są ze sobą i na tej wsi do usranej śmierci będą żyć. Moja siostra podobnie. I nie mówię, że to źle, niektórym takie życie wystarcza. Ale ja już panu mówiłam – udusiłabym się. Codziennie to samo, towarzystwo to samo, nie wyjedziesz, wszystko planować trzeba, nikogo nie poznasz – to nie życie dla mnie.

Spokój? Pewnie i spokój, ale czy w życiu o spokój chodzi? O co, to ja nie wiem, trzydzieści sześć lat się próbuję dowiedzieć. Ale chyba nigdy się nie dowiem. Na szczęścia chyba. W sumie to lubię tak życie, że nigdy nie wiem czy dobrze, czy źle robię. To znaczy moralnie wiem, ale chodzi mi, że tak… ekonomicznie? Ha, nie wiem, jak to powiedzieć, chodzi o to, że ja nigdy nie wiem, czy to, co robię, wyjdzie mi na dobre czy złe.

Nikt nie wie? Mi się wydaje, że niektórzy wiedzą. Moja matka na przykład wiedziała, że na dobre jej wyjdzie zamążpójście. Nie mówię, że ma to cokolwiek wspólnego ze szczęściem, co to, to nie. Ale chodzi o to, że niektórzy nie piszą sobie własnych życiorysów, tylko odtwarzają te, które zostały napisane już wielokrotnie. Ale pan to raczej nie z takich. Ech, nikt mi nie uwierzy, że student filozofii malował mi ściany, przecież to się na film nadaje.

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Rafał Kasprzyk

godło „KAPITALNY”

I nagroda w dziedzinie poezji

Rafał Kasprzyk

Urodzony w 1980 roku w Nisku. Publikował w „Sztafecie”, „Przeglądzie Rudnickim”, „Arkuszach Literackich”, kwartalniku mniejszości polskiej na Ukrainie „Krynica”, ogólnopolskim Almanachu Poezji Religijnej „A Duch wieje — kędy chce”, w almanachu poezji „Spojrzenia 4” i „Spojrzenia 6”, a także w „Dzienniku Polskim” (w rubryce Józefa Barana Wierszowisko). Dwukrotny laureat międzynarodowej „Podróży Poetyckiej” w 2008 i 2009 r. Laureat konkursów poetyckich „O wawrzyn Sądecczyzny”, im. Dionizego Maliszewskiego oraz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Nagroda „Wieści Regionalnych” w VII ogólnopolskim i polonijnym turnieju poetyckim Prezydenta Miasta Mielca o „Srebrne pióro” w 2011 r.

Zmiana perspektywy

Ostatnio pod ziemią, zacząłem powoli oswajać wiersze,
jak myszy, które przychodzą wygłodniałe po resztki jedzenia.
Jeszcze kilka dni i będą jadły mi z ręki.

Perspektywa stalowego chodnika perfekcyjnie
ogranicza przestrzeń do absolutnego minimum
i zawsze otwiera człowieka na oścież.

Wracam do domu i zmieniam perspektywę patrzenia.
Wchodzę w ustawienia komputera i wybieram nowe tło.
Obraz ziemi z perspektywy kosmosu.

Powoli zaczynam oswajać samego siebie.
Falstart

jak nazwać to moje ciągłe łażenie
podziemnymi korytarzami kopalni
po prawie osiem godzin dziennie
jeśli nie falstartem mojej własnej śmierci
codziennym treningiem z umierania

tam na dole wyobraźnia stwarza swoje własne światy
by potem na górze poskładać je na nowo
i już nie wiesz co jest bardziej prawdziwe
światło gdzieś na końcu tunelu czy błękit nieba

Filetowanie

Wracam do domu po całodziennym łowieniu w jeziorze
jego cisza patrzy na mnie białym mięsem ryb
poukładanym równo na stole

dokładnie po kolei oddzielam ości i kręgosłupy z głowami
koty czekają kiedy ścieram ociekający krwią stół

zastanawiam się co zrobić z naszymi ustami
które czasem próbujemy naprawiać milczeniem
jak nożem do ryb i zaczynam filetować słowa

idealnie oddzielony od świata filet języka grzęźnie w gardle
wypełnia usta nieznanym jeszcze gatunkiem mięsa

Czasem

Na podwórku sąsiada rozebrali dom.

Zostały po nim zmęczone zardzewiałe rowery,
na których wysoka trawa próbuje teraz nauczyć się jeździć,
sterta śmieci, kilka butelek po wódce,
nie do końca jeszcze rozebrany kaflowy piec,
ostatnia relikwia wypiekanego chleba.
I dziura w ziemi – wielka rozpadlina ciszy,
w której kąpią się przelatujące ptaki.

Czasem, kiedy nikt nie patrzy, wchodzę
w otwartą dłoń ciszy podwórka, do najdalszych jej krańców,
nad przepaść ostatniego oddechu, by zrozumieć
granice pomiędzy tym co jest, a tym co Jest

A czasem po prostu patrzę
na otwarty po latach widok z tarasu.
Obecność II

Dziadek zawsze bardzo dużo palił,
a tydzień przed śmiercią, to nawet trzy paczki dziennie.
Pamiętam doskonale resztki płuc na dywanie,
krwawy obrys ciała , który do dziś mi towarzyszy.

Pamięć przesypuje się niewidzialną klepsydrą framugi,
każdym skrzypnięciem frontowych drzwi,
każdym kolejnym przejściem. Włazi w przestrzeń
i mieszka w pęknięciach drewnianych stropowych belek.

Ostatnio zostawiła ślad. Dziurę w ścianie na korytarzu,
którą syn zrobił zupełnie niechcący, a której
nie mam odwagi naprawiać.

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Dorota Ryst

godło „100% CELULOZY”

II nagroda w dziedzinie poezji

Dorota Ryst

Absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka w Warszawie. Od roku 1996 bierze czynny udział w życiu literackim. Wydała sześć autorskich tomików poezji – najnowszy to „Sample story” (2016). Jej twórczość była publikowana w licznych almanachach, antologiach i czasopismach literackich. Jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Salon Literacki, zajmującego się popularyzacją i promocją polskiej poezji, w stowarzyszeniu pełni obecnie funkcję zastępcy prezesa. Jest jednym z pomysłodawców i organizatorów Ogólnopolskich Warsztatów Poetyckich „Pomost”. Od września 2010 jest redaktorem naczelnym portalu „Salon Literacki”.

mówimy o smogu

bo przecież coś wisi w powietrzu. w wiśle ruszyła
produkcja śniegu. u nas rzeka powoli połyka
plaże. miejsca po ogniskach nie zdążyły zarosnąć.

butelki dryfują do morza bezlistne. wilgotne
lato przechodzi powoli w mokrą jesień. jest trochę bardziej
szaro. wzbieranie wody wciąż budzi. wiara

nie czyni cudów. pakujemy się powoli. kończy się
gwarancja. przybieramy barwy maskujące. czerwień
i biel.

krótkie ćwiczenie z przemijania

taki dżdżysty dzień. niedziela. moment kiedy patrzysz
na chłopaka w autobusie i zaczynasz płakać. podoba ci się
za bardzo. i wiesz że jest młodszy od twojego syna.
nie ma znaczenia że syn jest tylko nie do końca

zdarzoną możliwością. wszystko co przed tobą
to perspektywa kilku ulic zmierzających ciągle
w te same miejsca. autobus z wilgotną szybą.
wyszukiwarki już podsuwają przywróć miękkość

szorstkim ręcznikom. jakiś konkret. przecież trzeba
być tu i teraz. tak mówił twój terapeuta. nie powiedział
że tylko to co się nie zdarzyło zostaje w nas na zawsze.

zawieszenie broni

dziwny wieczór. zakopujesz topór wojenny
a nadal uwiera. do tego zacina się klawisz w i nie bardzo
wiadomo czy nie chodziło o umiera ubiera
czy może uciera. wybaczasz i powinnaś czuć się dobrze

a przynajmniej szlachetnie. ale wątpisz. powtarzasz
słowa w ich formie pierwotnej. żadnych derywatów. kurwa
kurwa kurwa. znów zaciął się klawisz i wychodzi kura.
nawet jest w tym jakiś sens. zwłaszcza przy założeniu

że to nie jajko było pierwsze. zmiana klimatu postępuje
kolejny orkan łamie. kłamię
że to już nie wojna.

mówi o nas

urodzona przed skalą apgar
nie musi się wstydzić że nie miała 10 na 10.
powtarza że w niebieskim zawsze było jej do twarzy.
i że do życia wcale nie potrzeba tak dużo
tlenu. wstrzymuje oddech.

urodzona między współczesnością a nową falą
naczytała się poetów. umie pisać i interpretować.
chętnie cytuje klasyków. chociaż woli młodszych.
weźmy na przykład barańczaka. piosenkę o porcelanie

powtarza z pamięci. jakiś czas temu sprzedała
kolekcję filiżanek i spodków. na pomysł sprzedania siebie
wpadła niestety za późno. mówi o nas w osobach trzecich.
przyzwyczaja się tylko do ludzi
którzy mają ostre krawędzie.

plaża żoliborz

taki wieczór. posiedzimy nad rzeką ciesząc się
że płynie. w naszych rozmowach będzie więcej ptaków
i bobrów niż topielców. w naszych oczach zajdzie słońce.
ognisko będzie się palić jasno ale niezbyt długo. ostatnie dni

były mokre więc brak suchych gałęzi. znany aktor
wysępi od nas dwa papierosy. tamta dziewczyna z każdym kieliszkiem
będzie miała coraz większy głód w oczach. widzisz mówię kieliszki
a to były jednorazowe kubki. przecież chodzi tylko o to żeby wyrwać się

na chwilę. albo wyrwać gubiąc się choćby na chwilę. nie wiem po co
opowiadam ci ten wieczór. niczego nie zmieni. na nic
nie ma wpływu. i skąd właściwie ten czas
przyszły.

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Paweł Bień

godło „WIKTOR RĘKORAJSKI”

III nagroda w dziedzinie poezji

Paweł Bień

Urodzony w 1994 roku. Absolwent kolegium MISH Uniwersytetu Wrocławskiego, student kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Zwycięzca Konkursu Literackiego im. Bolesława Leśmiana (2017) oraz konkursu dramaturgicznego Debiut na Wagę (2013), organizowanego przez wrocławski Teatr na Wagę; laureat Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego (2015) oraz 12. Połowu Literackiego organizowanego przez Biuro Literackie (2017). Zdobywca licznych wyróżnień poetyckich. Publikował m.in. na łamach „Akantu”, „Biblioteki” i „Tekstualiów”. Dwukrotny stypendysta Stypendium Artystycznego Prezydenta Wrocławia. Skrzypek amator. Mieszka w Warszawie. Przed debiutem książkowym.

Szalenie on się jej spodobał,
szalenie i to pierwszym wejrzeniem.
stał tam, może trochę bardziej
w kącie.

on w przedmiejskim tweedzie.
- panowie proszą panie!
ona w groszkach, w pąsach.

i ona rosła zachwytami, oddechem,
już ponad. już, już.
i on podniósł rękaw na tę miłość,
i powąchał swoją pachę.

W źrenicy nocy dwie kobiety
zamknięte w samochodzie
jedzą kebab. ciemno. w lusterku

senna budka strażnika parkingu:
wschód serialu. szklany spodek, ciężki dym.
symbol ma przewagę nad rzeczywistością.

Przyjechał, poluźnił fular pod szyją, obejrzał,
zapakował naszą starą Matkę Boską na wóz i tyle.
a myśmy później jeździli wszyscy do naszej Matki,

do Krakowa, do muzeum, tam jej świeczkę zapalić.
chociaż ksiądz mówił, że w kościele naszym nowa stoi
i nawet lepsza.

Rzeczy przychodziły same i jakby od niechcenia. uczyłem się otwierać słowo i patrzeć jednym okiem, jakby to była ta obca strona ogrodu. poznaliśmy się przez płot – miałaś jamnika – na końcu upałów, a później opowiadałaś mi bajki o przyczynach; czasami marzłem, a czasem mnie nie było. na tyle, na ile to konieczne o tej porze ciała. to był bardzo piękny jamnik, choć nic nie zostało.

Może to i racja – odkładam kamyk między obce dotyki. przez sen czy dwa wypadają mi zęby. leżenie kamyka jest cierpliwe. przez sen czy dwa łapię zęby. piszesz mi o niedoczytanych książkach, albo że opuszki powalane tytoniem, proszkiem do prania lub ziemią z doniczki. kamyk leży. w to wierzy mu każdy: schnie.

XXIV Konkurs literacki
Krajobrazy Słowa

Dominik Sobol

godło „DOBRA KREW”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Dominik Sobol

Urodzony w 1988 roku. Laureat kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich. Stypendysta Marszałka Województwa Lubelskiego za 2014 rok w dziedzinie literatury. Mieszka w Warszawie, pochodzi z południowego Podlasia. Dziennikarz freelancer.

Prawa natury

Nie trafiłem na swoje przeznaczenie w tym mieście (moim nomen omen). Takie są prawa natury. Nic na to nie poradzisz Wojtku. Kojarzysz mi się mój przyjacielu umarlaku z umarłymi miastami. Takie jak to nasze może być wzorcem. Punktem odniesienia. Umieranie tutaj nie zawsze jest cudowne. Wzięli mnie we władanie bracia starsi w wierze. Czasami czułem dziwne drgania w okolicach serca. Nocami, gdy tylko wędrowałem wzdłuż torów czy cmentarzysk. To ponoć ich aury powracają w nas samych. Jakieś odbicia czegoś niewypowiedzonego. Kto do cholery miał ich słuchać i zapamiętać? Chciały powrócić na miejsce dawnego życia sprzed czasów adolka i jego wyznawców. Nie mają nawet godnego pochówku. Jest tylko pewne zardzewiałe ogrodzenie. W środku niego trawa. Trawa to życie. Ich życia nie zwrócimy. Tak jak Twojego przyjacielu.

Możemy za to pamiętać (póki my żyjący jeszcze żyjemy) o życiorysach tak pięknych, jak przejechana sarenka niezdająca sobie sprawy z istnienia jadącego passata. Jej otwarte oko zostaje w mózgu jak średniowieczna strzała, drążąca DNA od pokoleń. Nie daje iść naprzód potomkom straceńców zawieszonych nad granicą. Granice mi się zatarły. Niby siedzę w stolicy, a myślę nad Bugiem. Oraz prawdą.

Zabili mnie we mnie

śmierć to pojęcie względne
jeżeli brać Jezuska za przykład.
stał on się moim jedynym
przyjacielem w tym czasie
zmierzania do bram raju
(lub piekieł).

jestem tylko matką kotów nic więcej.
oni widzieli we mnie latawicę, szmatę podłogową,
obiekt do zhańbienia rodu ojca.

moje nazwisko wymiera wraz ze mną
niedługo to potrwa
ale oni nie żyją znacznie
dłużej. głupio się z tego
cieszyć. Biblia każe wybaczać,
bóg w moim łonie czasem też.

próbowałam załatać pamięć wybaczeniem.
dalej próbuję. śmierć nie nadchodzi.
bóg jest Bogiem. czasem pomaga.
a czasem nie. w zależności czy jest słońce.

dzisiaj świeci.

Matka Eufemia od kotów

kwiatuszki przewracane w rączkach
pokazały jaką mam w sobie moc. uwinęłam się
chutko z tym bukietem dla najważniejszego
z ludzi stąpających kiedyś po ziemi. ziemia urodziła
także koty. całą gromadę. każde przygarnięcie to jedno
moje dziecko. wszystkie zmarły, ale żyją dalej.

i ja żyję pamięcią moją dziurawą i odporną na zło.
Czy to możliwe pani Eufemio?
tak mnie ludzie we wiosce pytają.

cóż mam im odpowiedzieć. życie niesie różne scenariusze.
mój można streścić w trzech zdaniach: chce żyć, ale nie za bardzo wie
jak. czasem przygarnia duszyczkę, daje strawę z ciepłym łóżkiem
i patrzy jak to maleństwo je. zabija w sobie kobietę, będąc wielorybem,
skazanym na wieczne wybaczanie krzywd.

Bad Hair Day

bez krępacji po kremacji skręta koleżanka szczerze wyznała, co jej leży na wątrobie.

że coś się stało podczas mycia czego nie jest w stanie logicznie wytłumaczyć. że czasem tak trzeba. życia dotykajmy całą swoją mocą. z wszystkimi jego zapachami. smród też coś o nas w końcu ma mówić. przecież i sam Napoleon do swojej ukochanej pisał, żeby broń Panie Boże nie myła się przed jego przyjazdem.

Bad Hair Day. tak bym określił naszą sytuację, patrząc z ukosa na warszawskie niebo zalane epidemią smogu. każdy z uczestników wyjścia na przerwę spojrzał w smartfon jak w lustro. Czarne Lustro. Czarne Niebo. Czarne włosy dawnej miłości kolegi z korpo.

nie idźmy tą drogą. róbmy swoje osiem godzin jak od nas tego oczekują. potem hec w miasto na kielona. i kupujmy, kupujmy aż do utraty tchu, wąchajmy oraz kochajmy. oglądajmy też seriale. koniecznie. w kółko w kółeczko po kresy. umarli, mimo pięknych gonitw za nowymi marzeniami.

jakże ożywcze są szczerości koleżanek korposzczurzyc gdzieś z Bieszczad czy Świętokrzyskiego. nie przyznałem się do pokrewieństwa z kobiecymi myślami. a prawda jest taka: smród wychodzący z genów jest mi zdecydowanie bliższy niż smród blaszanych pędziwiatrów na Alejach Jerozolimskich.

Czerwień

rączki znowu zdradzają prawdę. szczerość przegryza
się przez palce. jestem o dziwo zdrowa. mimo dalszej
niezgody na wyhodowanie w sobie wieloryba żyję na
przekór i po coś. koty są rozwiązaniem. kwiaty czerwone
tak samo. zwłaszcza ich woń. wskazują prawdę,
a żylaczki na nóżkach płoną. każdego dnia bardziej.

po nich pełznę po oceanie uczuć do nieba. piechotą
będę szła. nogi jak kłody będą mnie przeklinać. ale to
nic takiego. miłość najwyższa wymaga swojej ceny.

we snach nawiedza mnie czerwień jezior. wpływa w
otwory duszy. po kolei wypełnia je tuż przed rankiem.
czwarta rano musi coś znaczyć. problem w tym czy
dowiem się za życia. tik tak tik tak. czas leci. ale
wbrew pozorom nie leczy ran.

XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Anna Michalska

godło „TRUMNA ZMIENIA SIĘ W BOBSLEJ”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Anna Michalska

Urodzona w 1989 r. Absolwentka Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego i Europejskiej Akademii Dyplomacji w Warszawie. Redaktor serwisu Portal-Pisarski.pl. Publikowała m.in. w „Arteriach”, „Szafie” i w „PKPzin”. Mieszka w Łodzi.

Teotihuacán. Muzeum Antropologii

Śmierć jeździ na rowerze wśród piramid
i pól opuncji. Wykonuje nierzeczywiste figury.
Santa muerte. Koła zostały wprawione w ruch.
Zderzają się kalendarze.

Kapłan spaceruje po świątyni jaguara.
Ptaki mają obsydianowe oczy.
Budzą się pierzaste węże.

Czas zacząć żyć. Czas na rzeź.
*
W drodze do Teotihuacán
kaktusy przypominają kandelabry.
Ich owoce – granatniki.
Indianie ścierają się z plemieniem
El Mariachi o napiwek.

Zanim nastanie głód
w miejscu narodzin bogów
świat tonie w zieleni.

Ofiara z kobiety uosabia młodą kukurydzę.
Oczekujesz na deszcz, nadchodzi deszcz.
Ofiara z kobiety uosabia dojrzałą kukurydzę.
Nadchodzi święto placków, święto indyków.

Krajobrazy

Mam dużo czasu, by myśleć, podróżować,
odkrywać niuanse świata,
ale wciąż nie mogę znaleźć obrazu,
który chciałabym podziwiać.

Kiedyś przez chwilę byłam szczęśliwa
w sposób tak doskonały,
że zarzucano mi okrucieństwo.

Potem musiałam uciekać,
schronić się w odległym kraju, w górach,
gdzie niesione przez wiatr pieśni
już zawsze miały metaliczny posmak.

jak zostaliśmy poetami wyklętymi

głupcy wyglądają przez okna z nadzieją
na surrealizm. słyszą wojenne gongi i
w odruchu buntu wybiegają na ulice

na głównych placach miast protestują
przeciwko łysym, Zieleni Miejskiej,
przeciwko prawu i sprawiedliwości.

zmieniają płeć, depczą tradycje,
wpuszczają imigrantów,
by składać hołd obcym bogom.

nie boją się. żądają otwarcia bramy,
która prowadzi przez wąski most

Ciepło

Kupujesz mi ciastko w kształcie ryby.
Smakuje jak księżyc. Zjadam je
i moje palce lśnią od lukru.

Mówię, że mam ochotę na lody o smaku krewetki.
Całujesz mnie w czoło, jakbyś był moim tatą
(żartuję, że jest prawie tak samo stary),

ale stałeś się mi bliższy
i nienawidzę cię bardziej. Siedzimy na plaży,
statki odpływają na wypłowiałej yukacie,

odjeżdża pociąg do Tokio.

Cięcie

Gdy znikasz, bohaterem jest tło.
Miasto uspokaja się tysiącem okien,
zasnuwa cieniem.
W miesiącu domu niebo staje się ażurowe.
Zza gałęzi drzew obserwuję migawki,

próby życia. W kolejnej scenie rozbijam
rodzinne fotografie
(zawsze brzmi to lepiej niż
„rozbijam rodziny").

Błysk słońca niczym błysk lampy.
Znów jesteś i uczę się niekonieczności.
Już wiem, że mnie kochasz,
ale musisz być odpowiedzialny.